

chw. 12442/6/22

DZIŚ W NUMERZE: TRZECIA NOWELA NAGRODZONA NA KONKURSIE „PIONU”

PION

CENA 50 GR

ROK VI NR 22 (243)

WARSZAWA

5 CZERWCA

1938 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

FERDYNAND GOETEL — WOLNOŚĆ I LUD
A. TRETIAK I W. HULEWICZ — KONKURS SEKCJI TŁUMACZÓW Z. Z. L. P.
K. IRZYKOWSKI I R. KOŁONIECKI — WIECZORY TEATRALNE
J. W. GOETHE, L. BOUILHET, W. B. YEATS, A. PUSZKIN — WIERSE
Z „TEATRU WYOBRAŹNI” — „BURZA”

TADEUSZ ŁOPALEWSKI

NOWELA NAGRODZONA
NA KONKURSIE „PIONU”

LOMBARD ŚW. SZCZEPANA

Zdarzyło się to w pewien czas potem, jak rozstałem się z Olgą. Przekonałem się, że jest to istota bez serca i że to co brałem za objawy uczucia wypływało, niestety, z wyrachowania. Byłem wtedy kimś, komu rokowano świetną przyszłość, byłem na drodze do kariery; wtedy zbliżyłem się z Olgą, która adorowała moje zdolności, zachwycała się moimi planami i tak schlebując mojej ambicji zdolała w końcu rozkochać mnie w sobie; a muszę zaznaczyć, iż nie należę do typów kochliwych. Ale nastąpił moment, gdy powięcia mi się noga, gdy przestałem zwracać na siebie uwagę. Moja gwiazda utknęła w niedobrej konstelacji. Z gorzycą obserwowałem jak ci, których niedawno jeszcze zaliczałem do przyjaciół, przestają się interesować moją osobą, a najbardziej zabolalo mnie to, że i Olga dość szybko uległa ich sugestii. Wyrzuty, jakie jej z tego powodu czyniłem, odnosiły skutek wręcz odwrotny: zamiast poruszyć w niej sumienie, obudzić współczucie — drażniły ją i wywoływały przykrą reakcję. Udzielała mi w odpowiedzi rad i pouczeń, jak mam działać i co czynić, by odzyskać straconą pozycję; a ja nieczylich rad nie lubię. Na moje skargi odpowiadała, że nie umiem z nią postępować, że jestem egoistą i tym podobne rzeczy, które w sytuacjach takich jak moja słyzy się często od kobiet. Starają się one wtedy winę swych kaprysów zwać na męczyzynie. Przekonawszy się ostatecznie, że odwoływanie się do jej serca nie nie pomoże, opanowałem się i przestałem ją widywać. Późniejsze, przypadkowe zreszta obserwacje potwierdziły słuszność tego kroku. Olga, prowadząca dotąd tryb życia skromny, nie lubiąca zabaw i strojów (chyba dla przypodobania się mnie, bo kiedyś wyraziłem jej swój pogląd na te rzeczy), po zerwaniu ze mną zaczęła grać rolę światowej damy. Spotykano ją w restauracjach i na balach ubraną według ostatniej mody, w kosztownych toaletach i futrach. Wolno się było domyślać, że znalazła sobie bogatego kochanka, który dał jej to czego może spodziewała się ode mnie, zanim się te nadzieje nie rozwiły. Gdy to wszystko sobie przemyslałem i rozważyłem, ogarnął mnie głęboki żal. Ta kobieta, mimo że przejrzałem małość jej charakteru, jeszcze mi była droga. Jeszcze o niej nie mogłem zapomnieć, chociaż usiłem zająć umysł zupełnie innymi, dalekimi sprawami. Jednak życie bez miłości straciło blask — jak pierścień, z którego wylupano diament. Ranki, dnie i noce różniły się tylko numeracją godzin i kalendarza. Księga życia upodobniła się do książki domowych rachunków. Jedyna możliwość jakiejś przygody, możliwość przeżycia czegoś nie przewidzianego, nie wpisanego z góry do rubryk mego istnienia, tkwiła poza

domem (mieszkałem sam jeden), to znaczy gdzieś w mieście, wśród ulic i zaułków. Miasto, co prawda, nie należy do tych, które częstują przechodnią obfitością wrażeń. Można by je raczej nazwać „prowinjonalną dziurą” gdyby nie to że posiada dość burzliwą przeszłość. Nieraz podczas robót ziemnych natrafiano na szkielety ludzkie; czaszki dziwnie połupane i przebite — one świadczyły, że właściciele tych kości nie kończyli życia na rodzinnym łóżu. Ta więc, powiadam, burzliwa przeszłość wskazywała, że obecny spokój, że senna prowincjonalna cizna, wieczorami zwłaszcza panująca w naszym grodzie, nie jest zjawiskiem ani odwiecznym ani trwałym; że może się tu zdarzyć jeszcze niejedna sensacja! Nie chce być źle rozumiany: nie jestem spragniony krwawych widowisk, bitew czy masowych rzezi — o tego rodzaju emocje dość łatwo we współczesnym świecie i wystarczyłoby mi w tym celu wyjechać niedaleko za rogatki rodzinnego miasta; wolalem przecież pozostać i oczekiwać przygod na własnym podwórku.

Stare mury kościołów, ruiny zamków i rudery pałaców, zaułki ghetta, staroświeckie podwórza z galeryjkami w koło oficyn i przepastnymi sieniami kryły w sobie obietnice jakiegoś niespodzianek. Mam pod tym względem nie do zabytkowej architektury. Stawiając sobie pytanie w duchu, które z nich stało na waga lokatorów tych szacownych burzyszym oglądając, na przykład, potężne maszynodobryd kościelnych nie z perspektywy, lecz z bliska, skąd wydają się jeszcze ogromniejsze, zapuszczając się pod okopcone sklepienia długich niskich bram, dotykając dłońią ścian wyrastających z głębi niezbadanych lochów — wierzę w myśl, która w tych murach zakrzepła i może ożyć! Wieczorem, gdy stara część miasta jest dość bezludna, ciemność słabo naproszona światełkami latarni jeszcze bardziej sprzyja temu wrażeń.

I tego właśnie wieczora w pewien czas potem, jak rozstałem się z Olgą (zima już była i śnieg leżał na ulicach), walałem się po mieście, odkrywając na nowo urodę

niektórych jego zakątków. Tu i ówdzie zatrzymywałem się i z głową zadartą do góry gapilem się na profile wieżyc, gzymsów i kolumn ozdabiających tę dzielnicę. Wszystko to w półmroku wieczornym, obwieszone fantastycznymi cieniami, wyglądało o wiele ciężej niż w dzień. Stałem wreszcie przed jedną ze skarp podpierających monumentalną bryłę kościoła św. Szczepana. Jest to kościół późnogotycki o kształtach dość surowych, powiedziałbym: ascetycznych. Nie wabi zewnętrznymi akcesoriami; pewną monotonię spadzistych ścian urozmaicają ukośne skarpy, tworząc coś niby fałdy na habicie mnicha, kłęzącego z podniesionymi ku niebu ramionami. Kościół stoi hakiem do ulicy i oddzielony jest od niej dość przestronnym skwerkiem. Od strony absydy przebiega mały, esowaty zaułek, wiodący w głąb pobliskiego ghetta. Drugą stroną zaułka tworzą zasłonięte płotem zabudowania półkaktusorne, których część znajduje się również w bezpośredniej styczności z murami świątyni. Znalazłszy się w tym zaułku, przystanąłem przy skarpach absydy, w jednym z dość ciemnych kątów, i z upodobaniem wodziłem wzrokiem po śmiałych liniach narożników, wystrzelających w mroczne niebo. Wzajemny układ tych linii, stosunek płaszczyzn, stykających się w jednych punktach a rozłączających w innych, sprawił mi jako obserwatorowi zadowolenie takie, jakbym słuchał, na przykład, gregoriańskiego chóralu. Kiedyś — ale to było w dzień — pokazywałem Oldze to dzieło minionych wieków, każąc jej wczuć się w nadobne sekrety jego architektury. I nie udało mi się, o ile pamiętam, obudzić w niej żywszego entuzjazmu. Mniejsza o to. Teraz nikt swym roztargnieniem nie przerywał mi kontemplacji, a światło latarni odbite od śniegu pozwalało nowym spojrzeniem badać niektóre szczegóły.

Z zadumy wyrwało mnie skrzypienie czyichś kroków po śniegu. Odwróciwszy głowę, spostrzegłem mężczyznę w palcie z podniesionym kołnierzem, przechodzącego niezbyt szybkim krokiem po drugiej stronie. Na przeciw kościoła przechodzień zatrzymał się, ale nie dlatego żeby mnie spostrzegł. Stałem w załomie muru, pod płaszczem cienia. Tymczasem on rozglądał się dokoła, jakby szukając na murach napisu czy numeru domu. Jednak nie było w pobliżu domów mieszkalnych. Po krótkim namyśle (zauważyłem, że pod pachą trzyma jakiegoś zawiniątko) przeszedł na tę stronę zaułka, gdzie ja się znajdowałem, lecz w pewnej odległości ode mnie. Na chwilę straciłem go z oczu. Wówczas wychyliłem się z ukrycia i zobaczyłem, że drepcze niepewnie na miejscu, wciąż czegoś szukając przed sobą. Stał wreszcie przed budynkiem, sta-



TADEUSZ ŁOPALEWSKI

nowiacy część kompleksu poklasztornego, łączącego się z kościołem. Obecnie mieści się tam jakieś biuro magistrackie — o tej porze, naturalnie, nieczynne. Ta przybudówka posiada ciekawą bramę z charakterystycznym zwornikiem w framudze i żelaznym kroksztynem od nieczynnej lampy. Wrota bramy zbite są dawnym sposobem z ukosnie kładzionych bali i mieszczą w lewym skrzydle furtkę z okuciem dobrej kowalskiej roboty. Przechodząc z zawiniątkiem pod pachą przedelfował parokrotnie przed tą bramą, w końcu nacisnął klamkę u furtki i wszedł tam nie zamykając drzwi z sobą. W całym jego zachowaniu było coś osobliwego, toteż ogarnęła mnie pokaś, by pójść w ślad za nim. Zbliżywszy się z wolna do uchylonej furtki, z zdziwieniem stwierdziłem, że na wspomnianym kroksztynie wisiał blaszana latarka z ledwo pelgającym wewnątrz zielonym światłem. Mogła ona służyć jako znak rozpoznawczy lub ostrzegawczy, ale dla kogo i po co — trudno było zgadnąć. Sekret krył się zapewne tam, w głębi mrocznego gmachu. Wszedłem ostrożnie do bramy, na wszelki wypadek pozostawiając furtkę otworem. Początkowo odniosłem wrażenie, że jestem w tunelu — tak tu było ciemno. Daleko przede mną majaczył niewyraźnie półkolisty wyłot. Nigdy bym nie przypuszczał, oglądając to domostwo z zewnątrz, że jest ono tak przestronne. Po kilkunastu a może kilkudziesięciu krokach znalazłem się u wylotu bramy. Miałem przed sobą obszerny dziedziniec w kształcie czworoboku, zamkniętego ze wszystkich stron murami oficyn. Nigdzie żadnego światła, ale na szczęście śnieg jako tako rozjaśniał mroki nocy; niebo było dość pogodne, mieniące się okrucami srebra. Ruszyłem na przelaj przed siebie, zauważywszy na śniegu ślady stóp mego poprzednika. Widły one do poprzecznej oficyny. Dokoła dziedzinca biegly arkady z podcieniami w stylu renesansowym. Z chwilą gdy je niespodziewanie spostrzegłem, całość gmachu nabrała majestatu i powagi, którą jakże często dzieła dawnych wieków oświeblają nas, nowoczesnych intruzów, zdolnych jeszcze do czei wobec wielkości. Odkrycie tych nieznanymi mi przed tym partii architektonicznych przejęło mnie wzruszeniem: jakto, pomyślałem bliski zachwytu, jakto? a więc w centrum miasta, tylekroć badane i opisywane przez historyków sztuki, znajduje się grupa zabudowań, zapewne z końca szesnastego wieku, całkowicie przeoczona, nie zarejestrowana przez nas? Nie byłam co prawda nigdy jeszcze poza tą bramą, lecz inni przede mną? owi zawodowi szperacze: czemuż prześlępli ten zabytek? Czemu nikt z nich nie opisał go, nie sfotografował, nie zareklamował turystom? A jest to przecież obiekt, na który co dzień patrzeć można z okien magistrackiego urzędu. Czyżby nikt tego dziedzinca w ogóle nie widział? Im bardziej się nad tym niepojętym faktem zastanawiałem, tym większe ogarniało mnie podniecenie. Postanowiłem sobie, że nazajutrz za dnia zjawię się tu z aparatem, sfotografuję każdy szczegół, no i zrobię gwałt jako odkrywca zapoznanego arcydzieła renesansowej architektury.

A tymczasem wszedłem pod arkadę i trochę po omacku posuwałem się naprzód, mając po prawej ręce cichą przestrzeń dziedzinca, po lewej głuchą ścianę. Jak gdyby szedł krążankiem śpiącego klasztoru. W pewnym miejscu krążanek skręcał pod prostym kątem i znou, posuwając się po prawej ręce, szedłem tamteży dość długo do punktu, w którym wyrosły nagle przede mną szerokie kamienne schody. Bez namysłu wszedłem na nie i dostałem się po stopniach (nalicyłem ich coś trzydzięci) na jakiś ganek, gdzie było zupełnie ciemno. Przypomniałem sobie, że w kieszeni mam pudełko z zapalkami, ale gdy je wydobylem, okazało się że są w nim tylko dwie zapalki. Postanowiłem zachować je na czarną godzinę i zacząłem iść dalej na oślep, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Wkrótce dotknąłem zimnego muru, co oznaczało że ganek się skończył.

Byłem wtedy u kresu tej wędrowki przez ciemność. Stałem nasłuchując i wytrzeszczając oczy. Nic, nigdzie żadnego jaśniejszego przeblysku, żadnego szmeru. Uczyniłem obrót w tył, w kierunku powrotnym, lecz nie chciało mi się jeszcze wracać — wracać z niczym. Zresztą straciłem, by rzec prawdę, orientację. Nie zdawałem już sobie sprawy, po której stronie jest dziedziniec i gdzie szukać schodów co mnie tu przywiodły. Jednak świadomość, że mogę ostatecznie pomóc sobie zapalką, dodawała mi pewności siebie. Bez trwogi pograżyłem się zmysłami w ciszę i ciemność, w nieznaną. Wszakże tego właśnie szukałem, znużony vegetacją na wydeptanych ścieżkach powszedniego życia. Coś podobnego można przeżyć tylko w puszczy nocą; ale puszcza zawsze jest pełna odgłosów, w puszczy nie ma tak absolutnej ciszy jak w starych za-

pomnianych murach. Gdzieś tu pod strypami, pomyślałem, wiszą jak czujny a niewidzialny pajak echo duszące każdy dźwięk w pajęczynie wieków. Gdy krzyknę — pajak przeskoczy ze ściany na ścianę, poeci za głosem, wyprzedzi go, by na pierwszym zakręcie omotać i stłumić śmiertelną siecią. Nie wiem jednak, czemu na tym miejscu pomyślałem znów o Oldze. Czy odczuwałem brak jej obecności w tej właśnie chwili? Nie byłam tego pewny. W każdym bądź razie przypomniało mi to, że trzeba jednak wracać do rzeczywistości. Zapalę zapalkę i czar prysnie.

Oparłem się plecami o ścianę i sięgnąłem do kieszeni. Lecz za plecami zamiast muru poczułem drzewo, to znaczy drzwi. Namacałem szybko klamkę i nacisnąłem: drzwi się uchylily. Otworzyła się przede mną długa sień, rozświetlona na drugim końcu mdłym zielonym światłem, podobnym do tego jakie widziałem przy wejściu nad bramą. Podłoga w sieni ułożona była z wydeptanych cegieł; przechodził już wtedy długi szereg pokoleń. No tak... Zielone światło wskazywało mi nowe, mniejsze drzwi, jak gdyby wejście do czyjśg mieszkania. Tu się zawałem. Ale przemogła chęć dowiedzenia się czegośkolwiek o tym zagadkowym gmachu. Możliwe, że mieszka tu dozorca lub ktoś inny, kto świadom jest jego historii i losów. Zapukałem lekko, potem mocniej; nikt nie odpowiadał. Teraz więc zapaliłem zapalkę, spodziewając się że na drzwiach znajdzie nazwisko lokatora. Istotnie, błysk zapalki oświetlił tabliczkę, umieszczoną jednak nie na drzwiach a obok w ścianie, tak jak w kościołach umieszcza się płyty nagrobkowe. I litery, w kamieniu ryte, posiadały kształt bardzo staroświecki. Nim zapalka zgasła, zdolałem odczytać jedno słowo i parsknąłem serdecznym śmiechem! Było ono tak nieoczekiwane w tym miejscu, tak nie licujące z nastrojem otoczenia, tak pozbawione wszelkiej tajemności, poczuj i powagi, że wyzoliło mnie od razu z napięcia. Na kamiennej tabliczce wryte było słowo: „LOMBARD”.

Wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie tego. Lombard! No tak: gdzieś tu obok znajduje się owe biuro magistrackie. A więc okrężną drogą, przez arkady dziedzińca, schody, ganek i sień, doszedłem do tego samego mniej więcej punktu, skąd rozpocząłem wyprawę. Po prostu mam przed sobą lombard miejski! Przypomniałem sobie tamtego jegomościa z zawiniątkiem pod pachą: niosł do lombardu jakiś zastaw.

Wszystko stało się jasne, to ja — w tym momencie, w którym uświadomiłem sobie niedorzeczność takiej konkluzji. By niedorzeczność to przypieczętowałem, poświadczyłem ostatnią zapalkę i spojrzalem na zegarek: dochodziła dziesiąta. O tej porze żaden lombard na świecie nie przyjmuje fantów. Rzuciłem okiem na kamienną tabliczkę i odczytałem resztę napisu: „Lombard św. Szczepana — Anno Domini...”. Reszta liter była nieczytelna, przynajmniej w tak skąpym świetle. Ta nazwa stała się dla mnie taką samą rewelacją, jak arkady w dziedzińcu. O instytucji pod taką firmą nie słyszałem, a przecież — chwała Bogu — znam to miasto od dzieciństwa. Fała tajemnicę, nosząca mnie wśród tych murów, znouu przybrała i zawiesiła mnie nad próżnią; a przez chwilę zdawało mi się, że ląduję na mieliznie!

Niespodziewanie drzwi, pod którymi medytowałem, zachrobotaly. Instyktownie odskoczyłem w cień, a na progu ukazała się sylwetka tego samego człowieka, który bezwiednie zwałil mnie w te zakamarki. Teraz też mnie nie zauważył i odszedł tą samą drogą przez sień, którą ja się niedawno przybłąkałem. Ale nie miał już przy sobie zawiniątka. Gdy zniknął mi z oczu, kapułem energicznie do drzwi i nie doczekawszy się odpowiedzi wszedłem do środka. Znalazłem się w obszernej izbie i z dużą ulgą stwierdziłem, że nareszcie jest tu nieco więcej światła. Skąd się ono wydosztawało, nie od razu wykryłem. Izba nakryta beczkowatym sklepieniem przecięta była wzdłuż i w poprzek drewnianymi ścianami, nie sięgającymi jednak do pulapu, a źródło światła mieściło się tam, za nimi. Na sklepieniu i nieco niżej wisiały nieruchomo cienie o dziwnych kształtach, jak nietoperze poprzyklejane do tynku, jak liście palm, jak splaszczony obłoki. Przepierzera takie jak te pospolite są w biurach i zwykłych lombardach. Były w nich nawet okienka, przeznaczone widać dla interesantów, teraz zasłonięte szymbami. Ledwo rozejrzałem się w tej sytuacji, gdy nowe wrażenie zmusiło mnie do natężenia uwagi. Usłyszałem zbiorowe, rytmiczne szmery, podobne na pozór do cykania kilkudziesięciu co najmniej zegarów. A jednak nie z zegarów one się wydobywały — w rytmie zegarów jest zawsze jakaś mechaniczna dokładność, bezduszność, tutaj zaś rytm tych szmerów był nieco nie-

równy, chwilami przyspieszony, chwilami zwolniony, falował, unosił się i opadał; tak czasem świerszcze kołaczą w starych komnatach. Zapewne nie były to i świerszcze, lecz przysięgłbym, że coś żywego stanowiło przyczynę tego fenomenu akustycznego — coś żywego, powiedziałbym nawet: coś znajomego. Ale co? Szmery te płynęły spoza drewnianych przegród, tam więc należało się dostać. Na chybił trafiał zastukałem do pierwszego z brzegu okienka, później do drugiego, trzeciego, wreszcie zniecierpliwiony zawolałem głośno: „Hej, jest tam kto?”. Głos mój odbity od sklepienia odebrzmiał mi obco, a co dziwniejsze: chórálne cykanie pod wpływem tego okrzyku zmęciło się, na sekundę ustalo zupełnie, po czym znów się odezwalo: najpierw pojedynczymi szmerami z różnych kątów, to tu, to tam, potem zbiorowymi po kilka, kilkanaście, wreszcie — jak przed tym — zabrzmiąło całym zespołem. A jednocześnie cienie przylepione do ścian i sufitu drgnęły, zatoczyły wielki krąg i spadły w dół. W ścianie na wprost otworzyły się drzwi i stanął w nich człowiek w habitie zakonnym. W prawej ręce trzymał pręt, w lewej naftową lampę. Oświetlała ona z boku jego lysą głowę, okoloną wieniec siwych włosów. Typowa twarz mnicha, zmuflifikowana w aurze umiesień ascetycznych, twarz, na której trudno odczytać rachunek czasów. Zakonnik z lampą mógł mieć pięćdziesiąt lat i pięćset. Ten pręt, to był smyczek.

Patrzyliśmy na siebie dłuższą chwilę: ja — zaskoczony pojawieniem się takiej figury, on — raczej znużony niż zdziwiony moją późną wizytą. Zaraz jednak ochłonąłem: obojętność mnicha ubodła mnie, a nawet zaczęła drażnić. Jeżeli to dzwidoł (pomyślałem) spodziewa się że będę się przed nim tłumaczył lub usprawiedliwiał, to się grubo myli. Jestem człowiekiem normalnym i władam w pełni swymi zmysłami. Umieję od razu określić każde zjawisko realne, natomiast to wszystko, co przeżywałem od wejścia w bramę pod zieloną latarką, należało do nieznanego mi rodzaju doznań, i ten osobnik w habitie również. Ta średnio-wieczna sala, zagrodzona biurowymi przepierzeraami, wypielniona denerwującą papką i on pośrodku, z lampą i smyczkiem w ręku, to przecież wymaga jakiegoś komentarza, skoro wiadomo, że nie jest scenariuszem stworzonym przez sen. Objasnienie tych rzeczy należy mi się jako jednemu w tym wypadku przedstawicielowi ustalonego w świecie porządku; mam prawo domagać się wyjaśnienia w imieniu rzeczywistości, nie w imię tego rodzaju odchyłu od normy, a przede wszystkim — imieniu elity ludzkości, posiadającej już dokładną ewidencję wszelkich nieprzewidywanych przez poprzednie wieki zakamarków istnienia. Niechże mi więc ten ojaszek będzie łaskaw wytlumaczyć, co robi w tym otoczeniu i skąd się biorą te stuk-puki dokoła. Już miałem otworzyć usta by rzucić kategorię pytanie, gdy on odwrócił się i skinięciem głowy dał znak, bym szedł za nim. Równie zdumiony jak zgniewany taka bezceremonialnością (dotąd słowem się do mnie nie odezwał) przyskończyłem ku niemu, kładąc mu dłoń na ramie. Dotknąłem szorstkiego sukna; pod sukmem czuło się ciało i kości. Jeżeli to mniszysko chce odegrać przede mną rolę ducha, to mu się to nie uda. On zaś obejrzał się na mnie i jakby uprzedzając niewłaściwe może pytanie, wskazał smyczkiem na pościenniale ze starości rzędy półek, ustawionych pod ścianami i zapelnionych szkatułkami z czezołki, jesionu i mahoniu. Jedne były bogato inkrustowane, pochodzące może z dawnych pałaców, inne skromne, gładkie, ubogie. I oto teraz dopiero stwierdziłem, że to z ich wnętrza właśnie wydobywały się ów nieustanny, zmienny i tak intrygujący mnie szmer. W kącie sali pod półkami ujrzałem stół zawałony foliantami w skórzanych, ciężkich oprawach, a przy stole fotel z rzeźbionymi poręczami. O poręcz opierała się ukosem wionolencza.

Mnich postawił lampę, usiadł i wziął instrument do ręki, nie troszcząc się nawet o to, czy mam gdzie siedzieć. Na szczęście, dostrzegłem pod oknem zydła zawałony papierzykami; zgnąłem go po prostu na ziemię i usiadłem. Teraz dopiero odczułem, że nogi bolały mnie potężnie: to błąkanie się po obszarach pustki i ciemności trwało kawał czasu. Zanim zdolałem odsapnąć, on zaczął grać. Dotknął smyczkiem strun i wydoił kilka pięknych tonów, nabrzmiałych taką treścią jakiej za pomocą słów nigdy wyrazić się nie da. Dla uchu naszych słowa są czyszcem, a przez muzykę trafiają do nieba. Któż zrozumie cierpienie treści, uwieźleż w źle wybranym słowie, szukającej wyzwolenia w poezji, co jest dopiero progrem muzyki? Odruchowo położyłem rękę na sercu gestem wdzięczności. Muzyk spostrzegł ten gest i zatrzymał smyczek. Oczy mu nagle posmutniały i odezwał się mniej więcej w te słowa, że nie spodziewał się tego, że i ja tu przychodzę dla korzyści. Mimo że nie zro-

zumiałem tego wyrzutu, mimo że niedawno jeszcze srodze byłem na niego rozgniewany, przecież z radością wysłuchałem jego głosu i nawet nie uraziło mnie zwrócenie się do mnie przez „ty”. Widząc moje zażenowanie, zadał mi nie mniej dziwne pytanie, czy przyniosłem zastaw. To słowo przypominało mi że jestem w lombardzie. Znouu sylwetka człowieka z zawiniątkiem przesunęła mi się przed oczyma. Zastaw, ale jaki zastaw? Ja nie mam nic do zastawienia. Może wob tego nie miałem tutaj prawa wstępu? Lecz nie. Gdy odpowiedziałem mu, że nie tu przyniosłem, zatroskało jego oblicze poweselało i zagrał na nowo. Myśli moje zaczęły pracować intensywnie, usiłując dociec kryjącej się tu, coraz zawiślejsz dla mnie tajemnicy. Muzyka którą słyszałem otoczyła tego jednego człowieka, co mógł mi ją wyjaśnić, aureolą takiego dostojenstwa, że zabrakło mi śmiałości by zwrócić się do niego z prośbą o zaspokojenie mej ciekawości. Czulem że duchem jest on gdzieś bardzo wysoko nade mną, że chodzi po przełęczach i szczytach niedostępnych dla mnie, że tam mową, której ja nie rozumiem choć jej dźwięk słyszę, że mową, której treść mglisto jedno przeczuwam, rozmawia samotnie z Bogiem o tajemnicach ważniejszych niż ta, co mnie tu znęca. Błąkałem się więc w lesie domysłów, a tony brzmiały mi w uszach to naprawdą, to zupełnie sferę, jak błędne ogniki igrające sobie z niewiedzą wędrowca.

Muszę zaznaczyć, że podczas tego koncertu szmery i pukania w szkatułkach nie ucihały ani na chwilę; zauważyłem jedynie, że zharmonizowały się z rytmem wionolenczy, towarzysząc całym frazom muzycznym jak dyskretny akompaniament. W niektórych jednak momentach brały rozbrat z linią melodii, jak gdyby starając się od niej oderwać i wtedy następowało małe zamieszanie. Ale wtedy zakonnik jeszcze bardziej skupiał się w sobie, staranniej wodził smyczkiem po strunach, wyraźniej pragnąc grać swoją zaprawowaną nad niesformnymi szkatułkami. Tak tedy związek między nimi (a raczej ich zawartością) i muzyką stał się niemal oczywisty. To pierwsze samodzielne odkrycie było dla mnie bodźcem do dalszych wysiłków. Chodziło teraz o przejrzenie myśłą, co się w tych schowkach kryło? Uprzymotniłem sobie reakcję, jaką wywołał tu mój krzyk na wstępie, i utwierdziłem się w powstałym wtedy podejrzeniu, iż jest w tym coś żyjącego. Co-rzeczku szukałem w pamięci obrazów, które by przystawały do ujawniających się szczegółów. Muzyka była mi w tym wyrażnie pomocna, zagrzewając wyobraźnię, czyniąc ją coraz lotniejszą. Przelatywałem błyskawicznie całe obszary znanych skądinąd zjawisk, trzymając ucho przy wibrujących wciąż kamertonie tych szmerów, przymierzając doń różnorodne rzeczy; ale nie się nie kleiło. Co to za fanty? żywe, cenne, które lombard św. Szczepana przechowuje? Co niosł nieznamy człowiek w zawiniątku i co tu zostawił? Dlaczego szedł po ciemku, jakby unikając czy wstydząc się oczu ludzkich? Natchnijcie mnie, moce niebieskie, myślą odkrywcza! Czulem, że mi kropie potu wstępują na czoło, a ciałem wstrząsa dreszcz żarliwego pragnienia. Spojrzałem na przetyłonego do instrumentu mnicha, który miał klucz zagadki. Ten klucz jedynie chyba siła posiadać może! Chęciwość wiedzy zrodziła impuls dość brutalny: wyrwałem mu z rąk wionolenczy, narzędzie magiczne i rozdarłem harmonię ostrym uderzeniem smyczka o struny. Szkatułki już prawie cichnęły, ukolysane do snu, zachrobotaly gromada, sploszyły się jak myszy, którym rozwalono nore. Zakonnik błysnął na mnie gniewną reńcą, ale na twarzy mojej śnać ujrzał coś takiego, co go rozbroiło. Bo już dotarłem do jądra sprawy: w oslepiającym błysku natchnienia, wywołanym przez spięcie wszystkich naraz elementów, ujrzałem prawdę: te pukania, te szmery, to bicie serc ludzkich! Tu się serca przymuje w zastaw! To ich pulsowanie słyszałem od chwili przekroczenia progu tej sali; samotny braciszek muzyka usypiał je na noc!

Gdy wyczał z moich oczu, że przejrzałem na czym polega proceder lombardu św. Szczepana, chciał mi wytłumaczyć, że nie ma w tym nic złego, nie zasługującego na potępienie. Ale umysł mój był tak wyczerpany trudami poniesionymi podczas tego sensu indukcji, że przynajmniej na razie nie miałem zamiaru badać, w jakich okolicznościach ta instytucja powstała i na czym swa egzystencję opiera. To zresztą bez żadnego nacisku z mej strony wyjaśnił mi ciele wionolenczy. Dowiedziałem się więc że ongi bractwo św. Szczepana postanowiło ratować bliźnich od zupełnej utraty serc i pogoni za użyciem żywota. Przeświewając więc środki, by niektórym przynajmniej dać możliwość odzyskania lekkomyślnie przestostraty. Każdy, komu w walee o byt przeskoda było własne serce, a kto jednak wzdragał się przed sprzedażem go diabłu na zawsze, ten miał możliwość złożyć je tutaj na czas pe-

FERDYNAND GOETEL

Z CYKLU „POLACY I FASZYZM”

WOLNOŚĆ I LUD

wien, niejako w depozyt. Lecz rzadko — z goryczą stwierdził to gospodarz lombardu św. Szczepana — zgłaszali się właściciele po zastaw. Może dlatego, że okup jest wysoki: wymaga się za zwrot fantu tego wszystkiego, co w życiu bez serca zostało zdobyte. Taka jest ustawa lombardu. Więc co stanie się z tymi sercami? Bóg jeden chyba kiedyś je wykupi... I jeszcze dalej coś na ten temat mówił mi cichym głosem, ale już go nie słyszałem, zajęty nową ideą. Zaprzagnąłem, wśród tysięcy tych żywych zastawów znalazło się serce Olgi. A jeżeli już jest, czy wolno mi będzie je wykupić? I za jaką cenę?

Przerwałem zakonnikowi opowieść i w paru słowach dałem mu do zrozumienia, iż posądzam pewną znajomą mi kobietę o to, że i ona złożyła tu swe serce. Czy mogę sprawdzić to podejrzenie? Bardzo mi na tym zależy, ponieważ ta kobieta kiedyś była mi bliska. Spojrzałem na mnie swymi mądrymi, rleklim: wszechwładzycami oczyma i z uśmiechem odpowiedział, że wiele kobiet przesunęło się przed okienkami tej sali. Lecz on nie zapisywał ich imion i nazwisk, bo przecież każdy serce swoje pozna od razu. Poza tym, od kiedy objął tu służbę (a stało się to bardzo dawno), wielu przynosiło zastawy, a nikt ich jeszcze nie oddierał. Chętnie przeto pomoże mi w odszukaniu serca tamtej kobiety, o ile nie zostało przez nią diabłu oddane. Wziął po tych słowach lampę i zaczęliśmy z wolna obchodzić salę, długo zatrzymując się przed każdą półką. Przekładałem ucho kolejno do różnych szkatulek, badając w której zamknięte jest serce Olgi. Zrozumiałem, że nastąpi tu jedyna i ostateczna próba naszej miłości, jeżeli ta miłość w ogóle nie była złudzeniem. Posuwałem się naprzód krok za krokiem, cały zamieniony w słuch, w oczekiwanie. I po dłuższych poszukiwaniach, gdy już prawie zwątpilem o skuteczności badań, serce moje zakłósało się raptem jak wahadło wytrąconego z równowagi zegara, na sekundę zamarło w bezruchu, a potem zaczęło bić pośpiesznie. Ze szkatulki, na którą teraz patrzyłem, jak wierne echo odpowiadał mi ten sam rytm, ten sam ton — i już byłem pewien, że tam jest serce Olgi.

Przewodnik mój poznał z wyrazu twarzy, że znalazłem to czego pragnąłem. Wziął szkatulki do rąk i pytająco patrzył na mnie. Miałem wrażenie, że czcigodny kustosz zapomnianych serc gotów był oddać mi je z całym zaufaniem. Wiedział, że daru tego nie zmarnuję. Ach, czemuż (myślę teraz, gdy lata długie minęły od tamtej nocy) nie porwałem bezcennego zastawu? czemu stłumiłem poryw, wzbudzony przez ślepe uczucie? Oto gdy mogłem to uczynić i wypowiedzieć słowo prośby, duma zasłoniła mi usta. Zebrałem wszystkie siły rozsądku, by pokroć odruć serca i nakazać mi spokój. Nie, powiedziałem sobie, nie potaszczyć się na skarb, w takich tylko okolicznościach dający się zdobyć! Nie wezmę tego bezpańskiego serca! A jednocześnie jakiś głos wewnętrzny krzychał: bierz bez namysłu, jeżeli kochasz — taka sposobność więcej się nie powtórzy! To zwątpienie o mojej miłości, nie wiadomo skąd zrodzone, jeszcze więcej podburzyło ambicję. Zaciśnięciem zębów, uparłem się. Postanowiłem nie ulegać żadnym impulsom; i tak się stało. Widząc że nie wyciągam ręki, że o nie nie proszę — zakonnik odstawił szkatulki na miejsce. Jak ptak w ciasnej klatce tłukł się w niej i trzepotał żywy strzęp ludzki. No, trudno, trudno! Z wolna trzepotały uciuchło, spłynęło w monotony szmer wszystkich półek. Już nie miałem tu nic do roboty, już czułem się znów daleki i obcy przeżytym tu wzruszeniom. W zamyśleniu, w zadumie nad sobą opuściłem lombard św. Szczepana.

Na dworze tymczasem rozszalała się śnieżyca. W zamkniętym czworoboku wielkiego dziedzińca miotła się jak zwierzę schwyty w pułapkę; ledwo omiął się, chwyciła mnie w swe macki. W tumanach kotłującego się śniegu zginęły kontury ścian i arkad. Brnąłem przez wibrujące nieprzeniknione chmury; wichura bila mnie mokrymi skrzydłami, wpychała w ząbki i podcinała nogi. Padłem na kolana, grzęzłem w masach lepkiego śniegu i znowu zdźwigałem się z upadku. Napierany ze wszech stron przez wściekłą zawieruchę — szukałem wyjścia, szukałem bramy z zieloną lataką; na próżno. Zataczając się w lewo i w prawo uderzałem o kamienie. Oczy sklejone w zamknięcie, ręce grabiały od zimna wnet stały się w zmaganiach z nią bezsilne. Tylko serce pracowało niezmordowanie, podsycając przytomność, zagrzewając do czujności i walki. Tylko ono i teraz nie zawiodło. I oto wydzierając się z potwornej leja, z białej topieli, natknąłem się na zbawcze schronienie. Ogluszone i półżywy znalazłem się wreszcie w zalomie jakiegoś muru. Tu mogłem zacerpnąć tchu w ściśnięte, obolale płuca. Tutaj zastał mnie dzień.

TADEUSZ LOPALEWSKI

Pojęcia „wolność i lud” występują w nierozdzielnej jak gdyby łączności. Tak chciała rewolucja francuska, która, skojarzywszy lud z wolnością, stworzyła podstawy mit demokracji. Twórcą mitu nie były, rzecz jasna, bynajmniej szerokie masy, tylko pewna wybrana i nader nieliczna warstwa społeczna, zwana inteligencją. Oglądając się wstecz na cały wiek XIX i blisko już połowę wieku XX można stwierdzić, że mit ten nie został urzeczywistniony ani nie zbliżył się do urzeczywistnienia. Wolność bowiem ludu w oczach idealistów i w oczach samego ludu nie była nigdy jedną i tą samą wolnością. O ile inteligencja demokratyczna kojarzyła z hasłami wolności jak najszerszą wolność przekonań, słowa, obyczajów i postępowania — lud myślał o rozszerzeniu realnych praw bytu. Kto więcej osiągnął, nie trzeba chyba wyjaśniać. Czasy nasze ukazują nam warstwę inteligencji, która osiągnęła swobodę życia, rzecz można, niemal anarchiczną — i masy ludu, które tylko nieznacznie poprawiły swój byt. Jest rzeczą nieoczekiwaną i dość dziwną, że nikt jakoś nie chce w tym właśnie objawie dopatrywać się przyczyn kryzysu demokracji. Ale demokratyczni idealisci nigdy nie lubili zdradzać się z tym, jak wiele zdobyli dla siebie i tylko dla siebie, występując w imieniu ludu. Przywileje swe uważali zawsze za zdobyte na „tyranach” lub chociażby na agentach tyranów. Jeżeli niekiedy musieli się zastanowić, że przecież każdy przywilej, jakimkolwiek dobrami życia zdobyty, może być zdobyty jedynie kosztem ograniczenia mas, to moralnie niepokój usypiali nadzieją, że „ostatecznie” wyrównanie różnic nastąpi w przyszłym, idealnym ustroju demokratycznym, kiedy to inteligencja zachowa a nawet powiększy swą wolność osobistą, lud zaś osiągnie równocześnie wszystkie prawa o które walczy.

O wolności człowieka w nowoczesnym ustroju społecznym można by rozprawić niezmiernie wiele. Nie chcę tu wchodzić w filozoficzną ocenę tego zagadnienia i poprzestaną na przypuszczeniu, że wolność osobista jest jedynie dość nieuchwytnym stanem wewnętrznego poczucia, wynikającym z przyrodzonej postawy wobec świata i siebie samego. Natomiast wolność obywatelska jest pojęciem wyrozumowanym, które daje się ująć w cały szereg wcale uchwytnych kategorii, jak np. minimum egzystencji, prawo do pracy, udziału w rządach, swobody organizacji, wypowiedzi publicznej itp., itp. Kategorie powstawały i narastały w miarę jak narastała cywilizacja, utrudniająca coraz to bardziej wolnościowo odruć człowieka. Rozprawianie o wolności obywatelskiej, a nawet już o osobistej, nie należy dziś — w XX wieku — do uczciwej dialektyki społecznej. Wolność ludu jest już tym bardziej pewną ścisłą sumą swobód, które trzeba nazywać po imieniu, z całym poczuciem odpowiedzialności za to co one znaczą i za to czy będą czy też nie będą spełnione.

Przywódcy i teoretycy polskiej demokracji nigdy nie potrafili wydobyc myśli demokratycznej z mętnych a rozczulających uogólnień. Dlatego nikt dziś w Polsce nie wie, jaką ma być Polska Ludowa. Więcej nawet: nie ma żadnej jednomyślności, co właściwie oznacza polski „lud”. Jedni nazywają go obea proletariatem, drudzy — rzeszą robotniczo-włościańską. Dla jednych będzie to uciemiężona mieszanina wszystkich stanów, dla innych — kościuszkowcy kosynierzy i szewcy Kilińskiego. Wyrazicielem ludu będzie dla demokratycznego realisty „szary człowiek”, dla marzyciela — „duch wieczny rewolucjonista”. Prawdziwy kłopot powstałby dopiero gdybyśmy zapytali, czy do polskiego ludu zaliczyć również i masy żydowskie? Jeżeli nie — to co zrobić z inteligencją żydowską, występującą tak wyraźnie i czołowo pod sztandarami Polski Ludowej? Jak pogodzić organiczny wstręt Żydów do całej żywiowości zjawisk duszy ludzkiej, zawartych w pojęciu ludu, z żarliwym udziałem Żydów w skrajnych prądach demokratycznych? Czy procesy komunistyczne, gdzie na jednej ławie oskarżonych siedzą agitatorzy żydowskiej i polscy robotnicy, są procesami polskiego ludu? Czy pochod pierwszomajowy w Bundem i Poalej-Syjonem jest pochodem polskiego ludu?

Jak, dalej, wytłumaczyć fakt, że kiedy „lud” jest bądź co bądź jakimś mętnym obrazem szerokich warstw ludności ziem i miast polskich, to kultura ludowa, obyczaj ludowy, sztuka ludowa oznacza zawsze i jedynie chłopów? Otóż — wyjaśnienie takie można jednak znaleźć. Próba rozszerzenia pojęcia „lud” poza jego dawne, naturalne granice, obejmujące ludność wiejską, była

podkrotowana chęcią zrewolucjonizowania pojęcia narodu, które, przywłaszczając sobie przez pewne tylko, górne warstwy społeczeństwa, straciło swą rozwojową siłę i stało się obojętne, niemal nienawistne dla szerokich mas. „Lud”, tak jak go rozumiał Mickiewicz w *Trybunie Ludów*, oznaczał właściwie to samo co „narod” — nie współczesny mu, co prawda, ale ten, co miał nastać z chwilą wyzwolenia upośledzonych obywatelsko warstw społeczeństwa, wówczas zresztą identycznych z włościanstwem. W rozumieniu tym „lud” miał w przyszłości albo zajmować miejsce narodu, albo wcielić się w niego, zaszczepiwszy mu swoje dzieło odrodzenia.

„Lud” nocy listopadowej i powstania styczniowego był tym samym ludem mickiewiczowskim. Pojęcie to zaczęło się rozszerzać dopiero w chwili, gdy na widownię dziejów wstąpiła doktryna socjalistyczna, która w lot zagarnęła „lud” dla swoich celów międzynarodowych. Marksisci, a wraz z nimi niektórzy demokraci oraz przeważająca część Żydów widzieli w „ludzie” pomost do pojęcia „proletariat”. Proces proletaryzowania pojęcia „lud” odbywał się w Polsce szybko i osiągnął swój punkt kulminacyjny przed wojną. Próby utwierdzenia na zagrożonych pozycjach „narodu”, przez utworzenie Narodowej Demokracji, lub zastrzeżenia nazwy „lud” dla warstwy włościańskiej przez powołanie do życia Stronnictwa Ludowego, nie powstrzymały rozwoju ludoproletariatu, ale bądź co bądź utrzymały zagadnienie w stanie otwartym.

Wojna przerzuciła cały ten proces na nas w niezmiernie chaotycznej. Przez długi czas trudno się było spostrzec o co tu chodzi. Zwycięstwa marksizmu w pierwszych latach po wojnie i klęski jego w latach następujących powiększyły zamęt pojęć. W Polsce Odrodzonej, tak samo jak i w Polsce pod zaborami, żyły i żyją po dziś dzień obok siebie pojęcia narodu i ludu mickiewiczowskiego, ludu powstańczego, socjalistycznego, demokratyczno-żydowskiego, wreszcie i ludu wiejskiego.

Dopiero ostatnie czasy przyniosły nam nadzieję przejścia. Jednoznaczne i powszechne pojęcie „narod” zaczyna zdobywać i wkrótce utraci swój zasięg. Aby się jednak stało na nowo jedynym, nie wystarczy klęski marksizmu i jego doktryny o klasowej międzynarodowej. Polska ludowa będzie tylko wtedy zastąpiona przez Polskę narodową, jeżeli „narod” uzna naprawdę dzieło sprawiedliwości społecznej za swoje własne i tak drogie swemu sercu, jak samo istnienie narodu.

Zajmijmy się jeszcze wolnością. Pojęcie to, przyznać trzeba, ma w Polsce wielkie tradycje. Zważymy jednak pewną znamieną i niechętnie dostrzeganą rzecz. Wolność w historii Polski została uszlachetniona, uświęcona nieomal, jedynie w okresie niewoli, kiedy to geniusz narodu parł niepowstrzymanie i bohaterstwo ku utraconej niepodległości. W czasach dawnej Rzeczypospolitej polskiej wolność nie cieszyła się bynajmniej tak dobrą sławą. Przeciwnie, wolność owa, równoznaczna z samowolą i sobiepaństwem szlacheckim i magnackim, wcielona w tysiączne formy obyczajowego przeciwstawiania się prawu i interesowi zbiorowemu w jego najszerszej, narodowej skali, kładła się w poprzek każdemu wielkiemu dziełu historii. I tak jak w XIX wszystkie głosy wielkich i znacznych Polaków były za wolnością, tak dawniej wszystkie przeciwko niej!

Ten dwugłos historii nie zaważył właściwie nad nami, którzyśmy wyrosli w niewoli, dojrzewiali w wojnie i weszli w życie w Polsce niepodległej. Cały niemal świat naszych uczuć sformowała owa wolność w aureoli, wyznawana przez rodaków z XIX wieku. Rozsądek, oglądający się wstecz, na niesławną wolność dawnych czasów, uderzał może niekiedy w głos przestrogi, ale nie zdolał nigdy wziąć góry nad uczuciem. I nigdy jakoś nie umieliśmy spostrzec, że Wolność, która stanowiła treść naszego życia przed wojną i podczas wojny, która śniła się Polakom przez półtora wieku — została zdobyta z chwilą odzyskania państwa polskiego. Ta zaś, która miała z kolei wypełnić nam życie, jest, już inna, nie tamtejsza, poddana zupełnie innym racjom, których nie chcemy i nie możemy jeszcze zrozumieć.

Nie podejmując się wyjaśnienia, w jaki sposób pojmują wolność młoda polska generacja, gdyż sam do niej już nie należę. To jednak pewne, że żyjąc od nas odmiennie i zagrażając wyraźnie i przyszykując swobodę słowu, przekonani i obyczajni — przecież sama nie czuję, aby nie była wolna. Kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem,

najwyższe doznania uzyskanej wolności miewałem na wyprawach w dzikie i puste w moich czasach przestrzenie Karpat i Tatr. Córki moje odziedziczyły po mnie namiętność górskiej włóczęgi — ale na próżno usiłowałem je nakłonić, aby z dobranym towarzyszem lub samotnie poszły w góry, pierwszym z brzegu wertepem. Instynkt pcha je ku ruchliwym szlakom, ku gromadzie, ku fachowcom narciarstwa i taternictwa, ku metodyce podróży i zwalczaniu trudności! Czy z tego powodu czują się w górach mniej „wolne” ode mnie? Na pewno nie! Wolność swą odnajdują w dążeniu wspólnym, obejmującym dziś już liczną rzeszę, które być może zaspokajałyby swoje potrzeby wolności równie wspaniale jak ja, gdyby to w ogóle było możliwe i osiągalne w epoce naszej, kiedy to poczucie prawa do swobód i parcie do nich jest tak powszechne, iż niemal przewyższa cały ich zapas, jakim rozporządza świat!

Na próżno też badamy nad zamilkaniem poczucia godności ludzkiej w pokoleniu, które w gromadach, szeregach, mundurach manifestuje obcą nam karności i chęć poddania się bliższym i trafiającym do serc rozkazom. Nie ma nic osobliwszego niż zdanie, że światem naszym rządzący wolne przekonania, a światem dzisiejszym — tępy posłuch i obawa przed gwałtem. W państwach faszystowskiej „przemocy” masy naprawdę wyznają to, co głoszą ich przywódcy. Gdzie zaś szerokie rzesze ogarnia jeden głos przekonania — ideał wolności staje się rzeczywistością i przestaje być w ogóle kwestią życia.

Rozumiem żalność i gorycz demokratów, spoglądających na żywiwość udział mas w ruchu faszystowskim. Dopóki faszystowskie były tylko Włochy, można było mówić, że lud włoski popadł w niewolę, ponieważ... no, ponieważ miał zamilowanie do patetycznych gestów, nie odznaczał się szczególnym wyrobieniem społecznym, itp. Kiedy jednakże zrzekł się swych swobód demokratycznych i lud niemiecki, zdobyty i zjednany przez garstkę hitlerowców, skoro z kolei i lud austriacki zrzucił skórę demokratyczną z zadziwiająco łatwością — dojdziemy do tego, że jeszcze tylko lud francuski, może i angielski jest „prawdziwym” ludem, wszystkie zaś inne — trzodą, niegodną ludzkiego imienia i pozbawioną zupełnie ludzkiego poczucia wolności.

Takie jednak pojęcie o ludach nie będzie już demokratyczne. „Prawdziwa” demokracja nie może tolerować podziału ludzi na ludy prawowierne i marnotrawne. Wyznające wolność i szerczące niewolę. W takim razie lud przestałby być pojęciem w skali światowej, wolność — pojęciem w skali ogólnoludzkiej! Cóż za bolesny cios w samo serce demokracji! Nie też dziwnego, że demokracja pragnie sobie tej ostatecznej przykrości oszczędzić albo przynajmniej odłożyć ją sobie na ostatnią chwilę, głosząc na razie, że ludy faszystowskie zostały zbłaźnione, oszukane, owładnięte zbiorową historią! Leżka splaya dość często z lic apologetów swobód demokratycznego świata. Następną fazą będzie już zapewne filozoficzna zaduma nad problematycznością skojarzenia wolności z ludem. Z tą chwilą skończy się jednak już i sama demokracja, pozbawiona swej moralnej treści, jaką jej dawało wyłączenie wstawianictwo za lud.

Nie chcę się natrasnąć z goryczą, jaką budzi w pokoleniu wyrosłym w indywidualizmie perspektywa nadchodzącej ery „strychulcowej”. Ale pesymistyczne twierdzenia, że wraz z demokratyczną swobodą przekonania schodzi z areny dziejów i kultura zachodnia, jest z pewnością przesadne. Odchodzą wspaniali ludzie, nadchodzą wspaniałe gromady. W rzeszach faszystowskich zjawia się przed nami zjawisko nowego ludu i nowej jego wolności. Lud żywy i karny, podejmujący z świadomością dzieło cywilizacji, rwący się do działania w imię dobra, które musimy nazwać publicznym w najwyższym stopniu, bezinteresowny w swoim zapale — jest w pozycji kultury zyskiem wielkim i niewatpliwym! Jeżeli zaś chodzi o straty, to jeszcze nie wiadomo, co zostało stracone. Swoboda twórczości nie jest jeszcze całą kulturą, gdyż obok twórczości wolnej istnieje także i twórczość z przekonania. Dyktuje ją wiara. Jeżeli się jej nie wyznaje, trzeba się z nią pogodzić, zdławiwszy z serca obrazę na świat, który się nie pozwolił zbawić w sposób dla nas najmiłszy i... najwygodniejszy¹.

FERDYNAND GOETEL

¹ W następnym numerze *Pionu* — Ferdynanda Goetla „Narodowej” (z cyklu *Polacy i faszizm*).

KONKURS SEKCJI TŁUMACZÓW Z. Z. L. P.

Sekcja Tłumaczy, założona w r. ub. przy Związku Zawodowym Literatów Polskich, obrala sobie formę konkursów na przekłady jako jeden ze środków działania w kierunku poprawy literackiej i filologicznej wartości tłumaczeń. Przed kilkoma tygodniami ukończony został ogłoszony przez Sekcję Konkurs na przekłady utworów poetyckich. Dnia 20 maja na specjalnym zebraniu omówiono wyniki konkursu, przy czym głos zabierali kolejno prof. Tretiak i przewodniczący Sekcji Witold Hulewicz; na zakończenie Maria Wiercińska odczytała wszystkie nagrodzone przekłady.

Poniżej drukujemy oba powyższe przemówienia oraz nagrodzone przekłady.

Przemówienie prof. Andrzeja Tretiaka

W imieniu Sądu Konkursowego, w zastępstwie p. Leopolda Staffa, który nie mógł być obecny, a przewodniczył na naszym zebraniu sędziowski, serdecznie witam wszystkich Państwa, przybyłych na ostatni akt Konkursu. Za chwilę przewodniczący Sekcji Tłumaczy, p. Hulewicz, przedstawi Państwu przebieg Konkursu; ja chcę tutaj tylko podziękować wszystkim uczestnikom za ich pracę, która oczywiście w bardzo nieznanym procencie, wobec dużej ilości nadesłanych przekładów, mogła być wyróżniona odznaczeniem. Niemniej praca ta, dokonana przez kilkuset tłumaczy i tłumaczek, nie poszła na marne. Wszelki bowiem konkurs ma charakter pracy zbiorowej, a skutki pracy zbiorowej są nieproporcjonalnie większe niż suma wszystkich poszczególnych części tej pracy. Przy zbiorowym wysiłku dochodzi jeszcze co więcej, jakaś kondensacja energii poza-indywidualnej o dużych wartościach społecznych. Usiłowania włożone w przekłady rozszerzyły niezawodnie potrzebę przeżyć artystycznych w zakresie poezji, nie tylko wśród samych tłumaczy, ale w szerszych kołach — wywołały z pewnością dyskusje co do waptliwych wykładów, co do subtelności ekspresji, co do rytmu, jego jakości i odpowiedniości; przy sposobności wylaniały się różne zagadnienia, których istnienia nawet nie podejrzewano przed momentem pracy nad przekładem. Dyskusje i zagadnienia pozostaną i nadal — znajdują potem swój praktyczny wyraz w trudnych przekładach, a to pociągnie za sobą coraz lepszą i głębszą znajomość poezji.

Jeżeli rezultaty obecnego Konkursu nie są może imponujące, to dalsze konkursy, jako systematyczna sposobność szkolenia smaku, niezawodnie wykażą pogłębienie się wiedzy o poezji i rozwinięcie i mądre zainteresowanie i potrzebę przeżyć poetyckich. Ale ta społeczna praca może się odbyć tylko przy pomocy stojących do konkursu tłumaczy, którzy czynią to właściwie bezinteresownie, wobec tak małych szans odznaczenia, i za to właśnie bezinteresowną pracę dla kultury poetyckiej chcą specjalnie uczestnikom Konkursu podziękować. Jeżeli mi wolno dorzucić osobiste podziękowanie, to chciałbym je tu także wyrazić, gdyż materiał tłumaczeń dał mi ciekawe pole do badania, jako krytykowi literatury, i nawet był sprawdzianem moich własnych zdolności krytycznych.

Konkurs na przekłady ma jednak nie tylko znaczenie społeczne. Jestem w pełni przekonany, że i samym tłumaczom przyniósł on wiele. Otwarte koperty z hasłami wykazały, że udział w Konkursie brali zarówno poeci, posiadający już swój status poetycki, mniej lub więcej znany, mniej lub więcej uznany, jak i osoby, które nie wyszły jeszcze poza swoje ściany z nazwą poety, ale które, jak okazał Konkurs, są wirtualnymi artystami. To co jeszcze chcę powiedzieć odnosi się do tej drugiej, o wiele oczywiście liczniejszej kategorii, choć sądzę, że i uczestnicy pierwszej grupy odnieśli pewne korzyści przez intymne, że tak powiem, zetknięcie się z innym poetą, przez porównanie swego typu twórczości z innym, który z konieczności musiał niejako wziąć w siebie, dokonując przekładu. Dla tłumaczy — nieoficjalnych poetów — przekład był silnym przeżyciem estetycznym, a jako takie — przeżyciem trwałym w tym znaczeniu że weszło w skład pracy wewnętrznej nad sobą. Przekład ma w sobie wiele elementu twórczego i wskutek tego po dokonaniu przekładu już nastąpiła w psychice tłumacza pewna zmiana. Wiersz został nie tylko przeżyty do głębi, zrozumiany w każdym szczególe, ale został także przetworzony, równoległe do pracy poety, który ten wiersz stworzył — można to porównać do wycieczki, do rekordu sportowego, aby użyć bliskiej nam dzisiaj sfery życia do porównania, — który mówi nam o naszych własnych siłach i uczy nas poznawać samych siebie.

Ale konkurs na przekład ma jeszcze jedną specyficzną cechę. Dzieło sztuki można poniekąd — w odróżnieniu od dzieła nauki ścisłej i od dzieła interpretacji, np. dzieła historycznego lub krytyczno-literackiego — scharakteryzować jako dzieło, w którym można zmienić każdy szczegół, z odpowiednim naturalnie przesunięciem innych szczegółów dla zatrzymania równowagi i harmonii, a mimo to dzieło się nie zmienia, zostanie wyrazem tej samej prawdy, jakim było w w pierwszej postaci. W ten sposób dzieło sztuki jest zawsze nieskończone. Ale to „nieskończenie“ zostaje w pewnej chwili zamknięte przez śmierć artysty, który to dzieło stworzył. Własność zmiany jednak nie ginie i oto powstają nowe gałęzie sztuki, które można by ze względu na ich główny element nazwać „sztukami zmiany“. Do nich należy niezaprzeczenie sztuka reżyserska, do nich należy też sztuka przekładu. I tu już nie można mówić o szczycie doskonałości, tak jak można mówić o tym w stosunku do ostatecznie ustalonej formy dzieła sztuki. Nie istnieje szczyt doskonałości w przekładach; zawsze można zmienić słowo, ulepszyć rytm, zbliżyć obraz, zwiększyć kondensację ekspresji, nadać odpowiedniejszy nastrojowy dźwięk fonetyczny. Już w obrębie konkursu spotykaliśmy się z dwiema i trzema wersjami ze strony jednego i tego samego tłumacza, przesłanymi pod tym samym godłem, a z pewnością pojedyncze wersje były wynikiem szeregu już poprzednich opracowań.

I oto prace nad przekładem uczą nas w sposób dość dziwny: dumy i pokory. Dumy z siebie, że możemy coraz lepiej tworzyć, coraz lepiej wykonywać przyjęte przez siebie warunki, i zarazem pokory, przez pokazanie, że istnieje coś niedosięganego, coś nieosiągalnego, że istnieje nie dający się zrealizować ideał. A te dwa czynniki, duma ze swoich możliwości i pokora wobec idealnej niemożliwości, są zasadniczymi czynnikami wszelkiej sztuki. Poznanie tego jest wielkim indywidualnym skutkiem pracy tłumacza — czyni go artystą.

I właśnie artystów, którzy nie potrzebowali poznawać siebie przez pracę tłumacza i artystów, którzy się nimi przez tę pracę stali, witam tutaj na sali w obecnej chwili.

Przemówienie Witolda Hulewicza

Powolana do życia rok temu Sekcja Tłumaczy Związku Zawodowego Literatów Polskich poświęcała pierwszy okres swej działalności głównie pracom wewnętrznym, mającym na celu wprowadzenie niejakiego ładunku w nasze chaotyczne stosunki na rynku przekładowym. Na zewnątrz wystąpiła Sekcja raz jeden, organizując konkurs na przekłady poetyckie z czterech języków na polski. I oto konkurs ten został zakończony; w chwili ogłaszania wyników czas podsumować zamierzenia organizatorów i porównać z nimi ostateczne osiągnięcia.

Publiczność czytająca w Polsce na ogół nie zwraca żadnej uwagi na stronę przekładową ukazujących się książek. Powieści są ograniczone — pożyczane z czytelnicy, rzadko kupowane — pochłania się łakomie, ale mało kto z czytelników umie przytoczyć bodaj nazwisko tłumacza przeczytanej nowości. Znacznie gorzej jest z przekładami poetyckimi i dramatycznymi, tych bowiem nikt nie kupuje i nikt nie czyta. Krytyka książek i sztuk teatralnych także bardzo mało uwagi poświęca wartości tłumaczeń, zbywając tę stronę dzieła lakonicznymi przymiotnikami: „przekład dobry“, „doskonały“ albo „chrapawy“.

Z tych przyczyn — i jeszcze innych — zawód tłumacza — literata w naszych czasach jest zawodem nad wyraz niewdzięcznym. Tłumacz bowiem jest albo wyrobikiem, pracującym hurtowo i pobieżnie, a zarabiającym mimo to źle lub dosyć źle, albo też na marginesie własnej twórczości oddaje się w pewnych godzinach rozkoszy poetyckiego tłumaczenia — i wówczas robi to jedynie dla siebie, bez zarobku i bez oddźwięku. Wielcy nasi tłumacze starszego pokolenia — Miriam, Boy, Porehovicz — mają wielki mir w kołach literackich, lecz u szerokiej publiczności nie mają nazwiska na miarę swych zasług, a gdyby któryś z literatów tego typu, przy największej nawet produktywności, chciał żyć tylko z tego dzieła swej produkcji literackiej — pożywałby chleb gorzki i nad wyraz skąpy.

Jest rzeczą potrzebną, by w Polsce — kraju zdany na spożywanie ogromnego odsetka literatury tłumaczonej, większym szacunkiem i uwagą otoczono pracę tłumacza literackiego. Aby go obroniono przed wyższym i nieuczciwą konkurencją oponującą mu rynek molochów przekładowych. Aby praca dobrego tłumacza była honorowana

i moralnie i materialnie w odpowiedniej do talentu skali. Aby krytyka baczniej śledziła i oceniała literaturę przekładową. Aby powstała dziedzina teoretycznej literatury o przekładzie, studia na ten temat z zakresu filozofii twórczości, psychologii, estetyki i techniki tłumaczenia. Oto jest jedno z pierwszych zadań niedawno powstałej Sekcji Tłumaczy — i to była myśl przewodnią finalizowanego dzisiaj pierwszego konkursu na przekłady poetyckie.

Był to konkurs „na zadane tematy“: wy magało się od uczestników przetłumaczenia po jednym lub po kilka wierszy z czterech krótkich utworów poetyckich z języków: francuskiego, angielskiego, niemieckiego i rosyjskiego. Autorami owych „zadanych“ wierszy byli: Bouilhet, Yeats, Goethe i Puszkina.

Trudnych obowiązków członków Sądu Konkursowego podjęli się łaskawie i zadanie swe spełnili z najwyższą ofiarnością czterej wybitni pisarze, znawcy odnoszonych literatur obcych i znakomici fachowcy w dziedzinie poezji (przy czym każdy z sędziów podjął się pierwszej osobistej eliminacji z najbliższego mu obcego języka), a mianowicie: wiceprezes Polskiej Akademii Literatury Leopold Staff (niemiecki), prezes PEN-Clubu Jan Parandowski (francuski), prof. Andrzej Tretiak (angielski), Julian Tuwim (rosyjski). Zarząd Sekcji Tłumaczy poczytuje sobie za obowiązek złożyć wymienionym jurorom najserdeczniejsze podziękowanie za ich wielką pracę.

Sąd Konkursowy rozpatrzył zgłoszone do ostatniego czytania przekłady i przyznał nagrody na posiedzeniu dnia 13 maja r. b. Niestety, Sąd nie uznał za możliwe przyznanie wszystkich nagród we wszystkich czterech językach, natomiast postanowił wyróżnić nagrodami następujące przekłady: a) w dziale niemieckim: I nagroda — godło „Meinetwegen“; II nagroda — godło „...not least“; III nagroda — godło „Forse che si, forse che no“; b) w dziale angielskim: I nagrody nie przyznano; II nagroda — godło „Forse que si, forse que no“; III nagroda — godło „Coh-I-Noor“; c) w dziale francuskim: I nagroda — godło „Ars longa, vita brevis“; II i III nagrody nie przyznano; d) w dziale rosyjskim: I i II nagrody nie przyznano; III nagroda — godło „Prostota“.

Ciekawe jest zestawienie ilości nadesłanych na konkurs prac. Najliczniej obeszano dział rosyjski, w którym zarazem wynik jakościowy był najlepszy. Przekładów nadesłano 220; w języku francuskim nadeszło przekładów 200; w języku niemieckim (w którym to dziale wynik był stosunkowo najlepszy) nadesłano przekładów 155; w języku angielskim nadesłano przekładów 77; razem przekładów 652, nadesłanych przez 385 autorów.

Po otwarciu kopert okazało się, że autorami nagrodzonych rękopisów są: a) w dziale niemieckim: I nagroda — Alfred Tom z Warszawy, II — Juliusz Feldhorn z Krakowa, III — Janina Rodyśówna z Warszawy; b) w dziale francuskim: I nagroda — Gabriel Karski z Warszawy; c) w dziale angielskim: II nagroda — Janina Rodyśówna z Warszawy, III — Roman Koloniecki z Warszawy; d) w dziale rosyjskim: III nagroda — Jadwiga Ważewska z Konina.

Reasumując wyniki tego pierwszego konkursu przekładów poetyckich, należy stwierdzić, że rezultat ilościowy jest wcale pokaźny, natomiast plon jakościowy, poza działem niemieckim, nie spełnił oczekiwań Sekcji Tłumaczy i Sądu Konkursowego. Może pod tym względem lepsze wyniki da projektowany na przyszły sezon drugi konkurs Sekcji Tłumaczy: na przekłady prozy literackiej z różnych języków.

Na wręczeniu nagród nie kończy się praca związana z naszym konkursem. Sekcji należy na tym, aby z planu Konkursu wyciągnąć możliwe najpełniejsze wnioski teoretyczne, naukowe. Plon konkursowy ma być poddany analizie krytycznej, która będzie ogłoszona w oddzielnych artykułach i zebrana później w specjalnej książce. Zbiorkowa ta praca powinna wydatnie wzbogacić ubogą naszą literaturę z zakresu teorii przekładu poetyckiego. Spośród Członków Sądu Konkursowego podjęli się opracowania wrażeń i wniosków ze swoich działów językowych pp. prof. Andrzej Tretiak i Julian Tuwim. Poza tym obiecali opracowanie naukowe p. Piotr Grzegorzcyk i Stanisław Furmanik.

Ogólne wyniki Konkursu opracuje wreszcie p. Maria Szurek-Wisti, autorka niedawno wydanej książki o Miriamie-tłumaczce. Wtedy dopiero z przedsięwzięcia konkursowego będą wyciągnięte maksymalne korzyści dla sprawy, która była zasadniczym jej celem.

Utwory nagrodzone

J. W. GOETHE: DO MARI SZYMANOWSKIEJ

I. Przekład Alfreda Toma — I nagroda

Namiętność — więc cierpienia! — Któż ukochł Ciebie, zgnęka serce, po tej stracie?
Gdzie pierzchały chwile szczęśliwości twojej?
Dar najpiękniejszy — czymże stał się dla cie!
Mętny jest duch, zaciósł w każdym czynie;
Ow górny świat — jakże sprzed zmysłów ginie!

Lecz ot — anielska wytryśnię muzyka,
Tony z tonami w milijony splota,
Na wskroś istotę złowiczej przenika,
Wiecznym ją płekiem napelnia — skrzydlatą!
I oko wylgnie, bo w tęsknocie wzniosłej
Tony — ży w boskie wartości urosły.

Zaczem też serce — z ulgą już — w lot chwyta,
Ze jeszcze żyje, bić pragnie szczerze,
W czyste podzięce za dary słońca
Na wzajem siebie chce złożyć w ofierze.
Tak przyszło — o, niech na wieki tu gości! —
Podwójne szczęście: tonów i miłości.

II. Przekład Juliusza Feldhorna — II nagroda

Namiętność niesie mękę! — Kto uciszy
Serdeczny ból po nabyt wielkiej stracie?
Kto godzin krok zbyt szybko zbiegłych słyszy?
Piękności cud nie wraca w dawniej szacie!
Mrok pada w duszę, niemoć wleka chęci;
Wspaniały świat zaciera się w pamięci.

Wtem — lot anielski! Wznosi się muzyka,
W miliony splota za tonami tonów,
Ognia cię i już na wskroś przenika,
Odwiecznym Pięknem jesteś przepelniony:
Oko się zwilża, łśni przeczącą wiarą,
Ze ton i tza są równie boską miarą.

Wieg serce czuje ulgę, wie przez mgnienie,
Ze jeszcze żyje, bije, bić chce szczerze,
By za dar szczerdy złożyć dziękczynienie,
Na wzajem siebie w chętnie niósł ofierze
I jedność znać — wiecznego godną trwania —
W dwoistym szczęściu tonów i kochania.

III. Przekład Janiny Rodyśówny — III nagroda

O męko namiętności! Któż ukoi
Serce, krwawiące ciężkiej straty raną!
Jak szybko zbiegły jasne chwile twoje,
Daremnie ci co najpiękniejsze dano!
W chaosie wszystkie gniazda poczynania,
Mgła smutku w oczach cały świat przesłania.

Wtedy — na skrzydłach anielskich Muzyka
W bezmiarze tonów niesie wspomnienie,
Serce do głębi czarem swym przenika,
Nadziwianym piękniem zagłusza cierpienie,
Wśród łez pozwala odczuć jednocześnie
Wartość boskiego daru łez i pieśni.

I oto serce, niepomne już stracy,
Pragnie żyć znowu, bić jak najgoręcej,
By za dar hojny, za dar przebogaty
W najczystszej samo oddać się podzięce.
I czuje — oby na trwanie wieczności —
Podwójne szczęście: piękna i miłości!

LOUIS BOUILHET: STROFY DO KOBIETY

Przekład Gabriela Karskiego — I nagroda

Wieg doprawdy to twoje „kocham“ było drwiną,
Drwiną i kłamstwem? Po cóż? Wyznam ci —
najprościej:
Nie mnie lecz siebie zwiódłś, naitana —
dziecinnie...
Dziś ledwie przebaczenie masz — zamiast —
miłości.

Jak dawna moja tkliwość — pełne jest i jasne:
Zachowaj je i trosk! nie dręcz się daremnie;
To co kochałem w tobie — to me włoży własne,
To co w tobie kochałem pozostanie ze mną.

Czymże byłaś mi, nawet w dniach szczęścia bez —
miary?
Przeciętnym instrumentem w moich rękach —
mistrza:
I melodia snów moich — jak w pudle gitary —
W pustce twojego serca dzwierała najczystsza.

Były wzniosłe i słodkie — nie za twoją sprawą,
Nie łącząc ich z imieniem twym dzisiaj —
przebrzmiałem:
By się urok ich oparł przemijania prawom —
Dossyć było żem wierzzył, dosyć że kochałem.

W. B. YEATS: GDZIEŻ DRUGA TROJA...

I. Przekład Janiny Rodyśówny — II nagroda

Czemuż potępić ją, że każdy dzień
Męką mi jeno uczyniła srogą?
Lub, że załkło zrucać śmiado cień,
By namiętności iść — uczyla — drogą
Tych, których tworzył własnych pragnień żar?
Czyż mogła dusza jej, jak płomień życia
Zastygnąć w ciszy? trwać w bezruchu czar?
Postać, jak łuku napięta cięciwa?
Charakter — rzadki w tym okresie lat?
Duma samotność wśród smutków ochłani?
— Do stóp sycych mogła przecieć rzucić świat,
Gdzież druga Troja, aby spalić dla niej?...

II. Przełożył Roman Kolonicki — III nagroda

*Winić ją — za co? Ze dni me spowita
Kirem nieszczęścia; że podszeptem zdróznym
Gwałt w serca mężów naiwne wszepiała;
Ze gmin z zaskoków pchała przeciw moźnym,
Co w żądach starli odważy blask świetny?
Cóż mogło sprawić, by jej duch w spokoju
Trwał, z przyrodzenia jak ogień szlachetny
piękny, niby luk napięty w boju —
Wzdech, co wśród wieku tego fal jak skala
wzrostła, wzniosła i samotna stoi?*

*Będąc czym była, ileżby zdziałała!
Mogłaby zburzyć mury drugiej Troi?*

A. PUSZKIN: DO A. P. KERN

Przekład Jadwigi Ważewskiej — III nagroda

*Pamiętam cudnej chwili zjawę:
Tyś mój urzekła wzrok i słuch —
Niby przelotne widmo mgławe,
Niby piękności czystej duch.*

*Wśród beznadziejnej smutku męki,
Gdy zgiełk ogłusza, dławia strach,
Dźwięczał mi długo głos tuój miękki,
Jaśniały rysy mile w snach.*

*Czas mijal. Orkan burz strasliwej
Marzenia dane rozciął, zmiotł...
I zgasił w pamięci głos tuój tkliwy
I tych anielskich rysów cud.*

*W samotni, mroku odrętwienia
Włokły się ciężko moje dni,*

*Bez wiary w bóstwo, bez natchnienia,
Bez lez — miłości — żaru krwi.*

*Lecz oto przyszło przebudzenie:
Znow mój ośmiśla wzrok i słuch,
Niby przelotny sen, widzenie,
Niby piękności czystej duch.*

*I sercem wstrząsa upojenie,
I znow z śmiertelnych ustaby mar
I wiara w bóstwo i natchnienie
I lez — i miłość — krew i żar.*

WIECZORY TEATRALNE

TEATR NARODOWY: *Gęsi i gąski*, komedia w 5-ciu aktach Michała Bałuckiego. Reżyseria: Aleksander Zelwerowicz. Dekoracje: Stanisław Jarocki.

Gęsi i gąski zajmują wśród sztuk Bałuckiego miejsce o tyle odrębne, że autor dał tu widzowi więcej niż dać zamierzał, zdystansował mimo woli własne intencje artystyczne. Komedialność ta nie jest jedynie ludzkim pejzażem rodzajowym, którego barwy rozświetla pobłażliwy i czuły uśmiech. Nie jest to także — wbrew pozorom — komedia obyczajowa, ograniczona lokalnie i środowiskowo. Gdyby ją — jak liczbę na czynniku pierwsze — rozłożyć na realne elementy społeczne i psychologiczne, to by się okazało, że żadna z postaci w *Gęsiach i gąskach* nie stanowi zindywidualizowanej i skończonej osobowości komediowej, że są one po prostu wcieleniem pewnych zaobserwowanych typów, pewnych przeciętności, dość schematycznie zarysowanych. Te popołite osobniki ludzkie dają w sumie coś w rodzaju t. zw. „przekroju socjalnego”: mamy tu i rodzinę ze sfery średnio zamożnego ziemiaństwa i młodą inteligencję i przedstawicieli zawodów wyzwolonych i rentierkę ze starymi tradycjami szlacheckimi. Jest więc tutaj — na malutką, oczywiście, skalę — płaszczyzna styku pewnych zbiorowości, zdefiniowany historycznie profil polskiego społeczeństwa. Czym jest humor Bałuckiego w tym tasowaniu tuzinkowych egzemplarzy ludzkich, kukielkowych i „programowych”? Jest on rozbrajającą szczerością wzniesienia, rzetelności, nieświadomej aprobaty, sentymentalnego rozczulenia. To straszne, że przeciw Bałucki kocha ten prymitywny partykular, odcięty niemal zupełnie od dziejowych traktów, ten światek, będący sam dla siebie makrokosmosem. *Gęsi i gąski* są prawdziwym dowodem, do jakich redukcji ideowych i pojęciowych doszedł w Polsce epizmitizm poromantyczny.

Komedialność Bałuckiego w Teatrze Narodowym stanowi przedstawienie doskonale i ciekawe. Wszyscy współtwórcy tego przedstawienia — z wyjątkiem dekoratora — pokazali znakomitą formę. W zespołowym popisie aktorskim przodowała p. Cwiklińska. Reżyserię Zelwerowicza cechowała nieomylna rutyna i dbałość o jednolity wydźwięk całości.

TEATR NOWY: *Serce*, komedia w 3-ach aktach Henri Bernsteina. Przekład Ryszarda Zarkowoskiego. Reżyseria: Stanisław Wysocka. Dekoracje: Stanisław Jarocki.

Bernstein jako dramaturg nie jest żadnym niezwykłym talentem, ale wszystkie jego utwory mają strukturę tak prawidłową i harmonijną, są tak bezbłędne i rasowo teatralne, że ich żywot sceniczny jest na ogół zawsze zagwarantowany niejako z góry. Umiejętność pomyslowego rozwijania i dynamizowania dialogu, planowego budowania postaci i rozstawiania ich z wielkim wyczuciem perspektywy sceny, wreszcie unikania rażących pływacz i banalów w doborze elementów tematowych — to najcenniejsze z właściwych mu cech. W *Sercu* przejawiają się one w pełni. Uderza tu zwłaszcza delikatność a z głęboką konsekwencją pokazany i przeprowadzony konflikt między panem Magueyran i jego dziećmi, doskonale zinstrumentowany całym aparatem przesłanek psychologicznych. Równoległe z przebiegiem tego konfliktu snuje się temat drugi, uboczny — dzieje długotrwałego rozpadu i ponownego scalenia się mieszczańskiej rodziny francuskiej, i to na podstawie prawdziwej żywotności tej więzi uczuciowej, która zawsze istniała, tylko że była ukryta w monotoni walki o byt czy raczej o dobrobyt, odkładana w odrębność losów poszczególnych członków „klanu Magueyran”. To, co można tutaj nazwać „problemem pokoleniowym”, pokazane jest w sposób przekonujący i prosty, dzięki temu że i pan Magueyran-senior i jego dzieci, Cecylia i Jan Klauz, nie rozeznają się w sobie ni w innych Róża — to ludzie żywi, to charakter, stworzone z głęboką znajomością prawdopodobieństwa życiowego i konkretności socjalnej.

Czytalem *Le Coeur* w oryginale: jest to długi utwór pięcioaktowy, który reżyserka



„GĘSI I GĄSKI“ M. BAŁUCKIEGO
Pp. Niwińska, Cwiklińska, Krzymuska, Węgrzyn i Macherska

p. Wysocka z konieczności skróciła i podzieliła na trzy części. Nie wypadło jej to szczęśliwie — żaden z aktów nie zamyka się dobrą pointą, niektóre ważne partie dialogowe niepotrzebnie zostały skrócone. Przejrzystość akcji i konturów pojedynczych figur na tym nie ucierpiała, ale zatraciły się pewne linie psychologiczne, które w tej sztuce mają swój duży urok i ważność. Spośród aktorów jedynie p. Śliwiński stanął według mnie na wysokości zadania. Rolom pp. Brydzińskiego, Smosarskiej i Wesolowskiej brakło jakby dostatecznie przeprowadzonej analizy przygotowawczej. P. Kościuszka miała rolę może łatwiejszą, ale dobrze wyczula zasadniczy ton komedii, jakiego postać Cecylii Ormois wymaga. P. Jarocki jako dekorator nie postawił sobie zadań zbyt wygórowanych, toteż nie musiał ich rozwiązywać. Myślę, że jednak czasem mógłby wykazać nieco wyższe aspiracje, jeśli strona plastyczna ma być w teatrze czynnikiem równorzdnym z innymi.

WARSZTAT TEATRALNY: *Dzieci nie chcą żyć*, sztuka w 3-ach aktach z prologiem Marceliny Grabowskiej. Reżyseria: Ziemowit Karpiński. Dekoracje: Wacław Ujejski.

Sztukę Grabowskiej przyjęło pod protektorat Towarzystwo „Młody Teatr”, które drogą całej kampanii wydobyci ją spod olwka cenzorskiego i nakloniło „Warsztat Teatralny” do jej wystawienia. Wiedząc o tych walkach i staraniach, byliśmy przygotowani, że nareszcie będzie można zobaczyć sztukę bardzo dobrą i bardzo ciekawą. Niestety, spotkało nas wielkie rozczarowanie. Sztuka p. Grabowskiej jest słabutkim felietonem publicystycznym, ożywionym tendencją szlachetną i — naiwną. Istnieje wiele kalibrów publicystyki, również i tej teatralnej; sztuka p. Grabowskiej należy do kalibru najdrobniejszego. Jej sztafaż dramatyczny jest ubożuchny i nieudolnie zmontowany, problematyka — powierzchownie odczu-

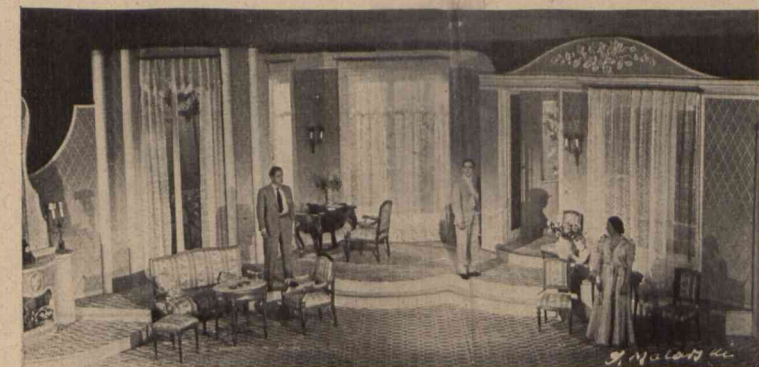
ta i nie domyślana do żadnego realnego punktu. Rygor szkolny, stopnie, trudne warunki materialne uczącej się młodzieży, godziny nadliczbowe nieszczęśliwych matek, groźba bezrobocia po ukończeniu studiów, — wszystkie te sprawy zostały zahaczone i umieszczone obok siebie. Pokazano sam ich nakrówek, warstwy wewnętrzne pozostały nierozruszone, tajemnicze i dla widzów i dla autorki.

Zdumienie ogarnia, że instytucja taka jak „Młody Teatr” lansuje podobne sztuki. Ciągawanie t. zw. bołazek społecznych nie daje jeszcze kredytu artystycznego; dla felietonów jest miejsce na łamach prasy, nie zaś na deskach scenicznych. Dziwi nas także, że kierownictwo „Warsztatu Teatralnego” zgodziło się na wystawienie utworu tak miłowartościowego w ramach swoich pokazów: zły materiał teatralny, dawany do opracowania młodemu reżyserowi, deprawuje go, mać w nim elementarne poczucie smaku artystycznego. P. Karpiński jako reżyser zrobił co mógł, by przedstawienie było jak najlepsze — ale jego dobre intencje niewiele pomogły. To samo powiedzieć trzeba i o ofiarnych aktorach pp. Polakównie, Małnicównie, Stepińnicównie, Borowskiej i Zahorskiej. P. W. Ujejski dał bardzo piękną dekorację nasypu kolejowego; wydobyci złudzenie perspektywiczne na tak małej scenie — to dużo.

Sprawdziło się jeszcze raz stare mądre przysłowie: „Z dużej chmury mały deszcz”.
R. K.

TEATR MAŁY: *Nowa Dalila*, komedia w 3 aktach Franciszka Molnara. Przekład Bolesława Górczyńskiego. Reżyseria: M. Przybyłko-Potocka. Dekoracje: Zofia Węgiorkowa.

Powiedzieć sobie, że „nie święci garnki lepią”, jest pierwszym krokiem do wyczerpania w niej jednej dziedzinie. W dramaturgii



„SERCE“ H. BERNSTEINA
Pp. Wesolowski, Śliwiński i Smosarska

ten krok zrobiliśmy i przysłowie „cudze chwalicie, swego nie znacie” już się nawet tak bardzo do nas nie odnosi, że bierniki w nim raczej by przestawić należało. Lekceważymy już sobie obce sztuki, choć sami lepszych nie robimy. Tak się stało z *Nową Dalilą*: ma dobrą frekwencję, lecz niedobrą prasę. A jednak Molnar i w tej pełnej nie niedociągnięci lecz przeciągnięci, rozgadanej sztuce, gdzie się kładzie pełno kropek nad i, okazał pewne majsterstwo. Wplótł motyw cenny, który bym nazwał „kujawianiem po węgiersku”, motyw w życiu częsty, a w literaturze bodaj że jeszcze nie używany. Dziewczyna, która by chciała wyjść dobrze za mąż, waha się między ubogim narzeczoną (szoferem) a bogatym pryncypalem (jest kelnerką) — pozwala temu ostatniemu na „troszkę” — niewiele, niech przyspieszy wesele”. Robić z tego motywu kawkowitą sztukę nie śniło mu się, wystarczyło mu żeby go drasnąć, inaczej byłby się dogrzebał do tendencji socjalnych: dziewczęta tej kategorii zmuszone są do takiej niebezpiecznej gry. A niektórzy krytycy, oficjalni i nieoficjalni, właśnie zarzucali mu, że nie wygrał do końca tej jednej struny. I drugi motyw cenny, już zastarzał molnarowski: gra psychologiczna. Żona restauratora zręcznym trikiem demaskuje interesowność kelnerki przed swym mężem: darowuje jej narzeczonemu sutą książeczkę oszczędnościową, o której ona miała, że jest w posiadaniu męża — tak że teraz serce kelnerki obraca się znow ku szoferowi i w ten sposób zakleja się stare małżeństwo a klei się nowe. Dialog sztuki jest blady, ale cały mechanizm w swoich zahaczaniach bez zarzutu, aż do końca, do chwili kiedy okazuje się, że kufry, które kazala spać zropaczona pani pryncypalowa, są puste — tak bardzo była pewna efektu swojej gry.

Kelnerkę Ilonkę grała p. Lidia Wysocka, opierające się dopiero niskie aktorskie, bardzo zdolne, mile i zgrabne. Dzięki jej grze ta figurka wypadła nawet sympatycznie, przebaczyliśmy jej fałsz i wyrachowanie: to był dzieciak, który sobie po prostu nie może dać rady z życiem. Tyle mieliśmy debiutantek w ostatnich latach, forsowano je, reklamowano i jakoś niewiele z tego wyszło. Może p. Wysocka okaże się trwałym nabytkiem, byle nie popadła za wcześnie w megalomanię i ustrzegła się od minoderii. (Rzadkość: bez feleru w głosie!). Doskonali p. Kurkawkiewicz w roli epizodycznej. P. Kamińska dobrze prowadzi swą kampanię jako pryncypalowa, ale głos jej wibruje nie wżytym patosem — trzeba jej roli w poważnym dramacie lub tragedii.

KAPELUSZ NA KAŻDĄ PORĘ
J. Młodkowski
Pl. 3 Krzyży 18. Marszałkowska 92.

TEATR LETNI: *Nie trzeba było mnie przejeżdżać*, komedia w 4 aktach J. Guittona. Reżyseria: Teofil Trzcziński. Dekoracje: Stanisław Jarocki.

Farsiści dzisiejsi wpadli na concept, że by korzystać z motywów socjalnych: ni mniej ni więcej tylko proletariusz wchodzi między mieszcuchów, coś tak jak ów opój w prologu do szekspirowskiego *Poskromienia złośnicy*. Sami go wciągnęli, gdyż potrzeba im było fikcyjnej ofiary rzekomego samochodowego wypadku, lecz zawikłali się. Nieporozumieniem i sytuacji *qui pro quo* prowadzą do kilku wcale komiznych scen w starym zamku wśród osób kopalnych, i bezrobotny luboz, którego zmuszono do grania roli pana młodego, robi niezłą karierę erotyczną. Na końcu pokłon w stronę ludu: prawdziwym dżentelmenem okazał się ów biedak, a państwo to galgany. (Prawie że... Rostworowski).

Syna ulicy grał p. Dymusz, specjalista znakomity od tego rodzaju folkloru. Jego humor jest dziwnego gatunku: sztywny jak u Buster Keatona, ale efektowny. Dobra karykatura p. Grabowskiego.

KAROL IRZYKOWSKI

„BURZA”

PRZEGLĄD PRASY

Ostatnie słuchowisko Klasycznego Teatru Wyobraźni pt. *Burza* można oceniać z dwóch bardzo odmiennych punktów widzenia: jako trawestację sztuki Szekspira i jako zupełnie odrębny twór radiowy, związany ze swoim pierwowzorem scenicznym pokrewieństwem doświadczeniowym, bo ograniczającym się jedynie do tożsamości tekstu, wyrwanego niewielkimi fragmentami z dużej całości oryginału.

Rzecz jasna, że z tego pierwszego punktu widzenia słuchowisko budzić musi pewne zastrzeżenia. Nie trzeba być koniecznie pełnym pietyzmu a zarazem szkolarskiej pedanterii szekspirologiem, żeby zauważyć, że radiowa trawestacja *Burzy*, będąca — jak przyznaje sam radiofonizator — „gwałtownym skrótem” oryginału, pozbawiła go w znacznej mierze wyrazistości dramatycznych poszczególnych postaci, które wypadły nieco zbyt epizodycznie. Z szekspirowskich cech sztuki ocalały w radiowej przeróbce przede wszystkim fantastyka i nastrojowy feeryczny. Uznając całkowicie istnienie specyficznych warunków, wpływających na kształtowanie się radiowej trawestacji dużego utworu scenicznego, niesposób jednocześnie nie zauważyć, że nazwa „klasyczny” jednak do czegoś zobowiązuje, a zatem Klasyczny Teatr Wyobraźni winien był może postarać się, by w słuchowisku oddano Szekspirowi więcej z tego „co szekspirowskie”. Czy należało to uczynić drogą wprowadzenia do słuchowiska kilku jeszcze fragmentów dramatu, czy też — aby nie powiększać czasu trwania audycji — drogą innego nieco doboru zestawionych fragmentów, to już kwestia, nad którą dyskutować można by jedynie z egzemplarzem *Burzy* w rękę i to nie w ramach krótkiej recenzji.

Letniej jednak — jak już wspomniano na wstępie — drugi aspekt radiowej *Burzy* i ten pozwala ją ocenić znacznie pozytywnie. Nie ulega wątpliwości, że w ramach czterdziestominutowego słuchowiska *Burza*, jako pewna całość radiowa, trzymała się dość dobrze, posiadała swoją zwartość kompozycyjną i konsekwencję w rozwoju akcji. Poszczególne fragmenty dramatu zmontowane zostały zręcznie i celowo, nastrojowy feeryczny dobrze wydobyty i umiejętnie podkreślony efektami dźwiękowymi, zwłaszcza piękną i sugestywną ilustracją muzyczną Artura Malawskiego. Wątek akcji — mimo pewnego skomplikowania, wynikającego z dużej ilości osób — był łatwy uchwytliwy dla każdego, kto zadał sobie trud słuchania, nie tylko dla „pilnego i zdolnego słuchacza”, do którego we wstępie odwoływał się radiofonizator, Jerzy Zagórski.

We wstępie tym podkreślono trafnie, że specyficzne walory wizualne sztuk Szekspira wymagają od słuchacza pewnego wysiłku imaginacji, który by pozwolił mu podczas słuchania wyobrażać sobie plastycznie poszczególne postacie sztuki. Słusznie zatem część obsady aktorskiej poszła po linii ułatwienia słuchaczom tego zadania poprzez charakterystyczną interpretację tekstu i samą barwę głosu. Na pierwszym miejscu należy tu wymienić: Chmielewskiego, który w roli czelkoczewca Kalibana ryczał i mrucał bardzo sugestywnie; Stepiównę, której miły, młody głos dobrze odpowiadał dziewczęcej postaci Mirandy; Strachockiego w roli Trynkula i Ciecierskiego jako Stefana. Helena Kamińska nie potrafiła niestety stworzyć sugestywnie Ariela. Głos jej, to zbyt zdecydowanie kobiecy, to znów niekiedy z lekką skrzęcającą, jakby przystało raczej na Puka ze *Snu nocy letniej*, brzmiał nienaturalnie i nie budził skojarzenia z eteryczną postacią jasnego duszka z *Burzy*. Wierciński w roli Prospera wywoływał zachwyt swoją niezrównaną dykcją, której walory ocenić można należycie dopiero wtedy, gdy wraz z innymi aktor ten staje przed mikrofonem. Mimo jednak, że po jubileusku czytelował każde słowo tekstu, głos jego brzmiał nieco zbyt młodo i za mało hieratycznie, wskutek czego nie wywoływał w wyobraźni słuchacza obrazu starego księcia-wyznawcy, zatopionego w tajemnych księgach i magicznie władającego zastępem podległych mu duchów.

Na zakończenie warto napomknąć, że słuchowisko poprzedzone zostało „przedstawieniem bohaterów”, a raczej ich głosów, co miało ułatwić potem słuchaczowi rozróżnianie ich w toku akcji. Jest to pomysł ze wszech miar godzien pochwały i powinien wejść w zwyczaj, zwłaszcza gdy w słuchowisku bierze udział większa ilość aktorów.

Jak doniosły dzienniki, nagrodę literacką Lwowa otrzymał w roku bieżącym sędziwy filolog, nestor historyków literatury polskiej, prof. Wilhelm Bruchnalski. Nagrodę Krakowa przyznano znanemu poecie, dramaturgowi i tłumaczowi Horacego, L. H. Morstinowi.

Sylwetkę krakowskiego laureata podaje *Czas* z dn. 28 maja. Dowiadujemy się stąd, że autor *Kłosu Panny* napisał dramat biblijny o Mojżeszu *Exodus*, który ma być niebawem wystawiony na scenie krakowskiej, oraz wydaje w bliższym czasie przekład *Antygony* Sofoklesa.

W *Tygodniku Ilustrowanym* z dn. 29 maja ukazał się ciekawy szkic Jana Emila Skińskiego *Anarchia gatunków literackich*. Skiński porusza tu jeden z najwyższych problemów artystycznych literatury współczesnej: ewolucję powieści, tego „worka”, do którego można wpychać co się chce, filozofię, publicystykę, dysertacje psychologiczne, reporterkę itd. Tradycyjne pojęcie o powieści jako „doskonałym obrazie zwyczajów, obyczajów, pracy, zabawy, nawet jedzenia i ubrania, epoki i społeczeństwa, jaką nam przedstawiają” (jest to dosłownie przepisane z notatek pewnej warszawskiej pensjonarki z końca zeszłego stulecia, które Skiński przeglądał), zupełnie nie przystaje do współczesnych utworów literackich, które nazywamy powieścią. Ataki na tradycyjny romans psychologiczno-obyczajowy nadszają z różnych stron: autentyzmu i reportażu, poezji oraz publicystyki. „Odbywa się coś, co by można nazwać *puchnięciem powieści*. Granice jej poszerzają się z niesłychaną szybkością, uderza nas łatwość z jaką powieść wchłania różne elementy, którymi dawniej albo wcale się nie posługiwała, albo tylko dorywczo i nieśmiało. I zdajemy sobie sprawę, że tego procesu nie można przerwać, ma on bowiem na swoje usprawiedliwienie obfitą i często świetną literaturę. O ile powieściopisarz dawnego, klasycznego typu ubiegał się o to, aby pogłębić procesy życiowe przez niego odwzorowane, o tyle dzisiaj kierunek tych zainteresowań idzie równocześnie i *w głąb i w szerz*. I gdybyśmy chcieli pozostać w ramach tego geometrycznego porównania, można by powiedzieć, że powieść znalazła się w ogromnym leju, który wciąż poszerza swoją średnicę, równocześnie zwiększając głębokość”.

Mimo to jednak nie należy, jak pisał Skiński, mówić o anarchii estetycznej w beletrystyce. „Motorem twórczości powieściopiskarskiej, dawniej jak dziś, jest pragnienie poznania świata ludzkiego w różnych jego wymiarach, a mnogość gatunków mieszających się; z sobą i niekiedy stwarzających obraz, który może nasunąć porównanie z anarchią, stąd tylko płynie, że pod naporem nowych wielkich przeżyć dziejowych, owo pragnienie poznania stało się tym więcej imperatywne i z tym większą żarliwością szuka wszystkich dróg, które mogłyby je wzbogacić”.

Dotychczasowe dyskusje o autentyzmie poetyckim były jałowe głównie dlatego, że szef tego kierunku Stanisław Czernik nie odpowiadał na zarzuty stawiane mu z różnych stron, to znaczy nie starał się zrozumieć tych zarzutów, powtarzając w kółko kilka ubogich twierdzeń. Obecnie z prawdziwą przyjemnością możemy odnotować pewną zmianę. W nowym zeszycie *Okolicy Poetów* (za czerwiec h. r.) redaktor ogłasza „list do poety”, dość pretensjonalny w formie (wzorowanej niezbyt udanie na pięknych „listach do młodego poety” Ril-

kego, z których jeden *Okolica* publikowała), ale ważny w treści. Czernik stwierdza, że „raj dzieciństwa” jest tylko pierwszym szczeblem w drodze poety wwyż; w pewnym momencie każdy poeta musi porzucić „erem” i wejść w świat, między ludzi i w namietności. „Cokolwiek się stanie, sądzę, że Cię na zawsze chciałem zatrzymać w eremie. Taki mi się ułożył wstęp, przysięgi co prawda. Lecz dopiero po tym wszystkim przydługim mógłbym Cię ujrzeć w ogniu wśród ludzi, mógłbym widzieć dopiero Ciebie misję poety, apostołstwo i męczeństwo”.

Sens przytoczonych słów jest jasny. Zda się on odtwarzać nową kartę w teorii autentyzmu. Zobaczymy, jak odbije się w praktyce twórczej tego kierunku.

OD REDAKCJI

Ponieważ konkurs „Pionu” na nowelę został już rozstrzygnięty (por. nr 19 „Pionu”), autorzy utworów nie nagrodzonych, nie wyróżnionych ani nie zakwalifikowanych do druku proszeni są o odbieranie rękopisów.

Zainteresowanych mogą odbierać je osobiście codziennie, w godz. 12-13, w lokalu Redakcji „Pionu”.

Chcący otrzymać rękopisy pocztą muszą nadesłać: 1) imię i nazwisko, 2) dokładny adres, 3) tytuł i **godło** noweli, 4) znaczki na sumę gr 50 (lub gr 80, jeśli przesyłka ma być wysłana jako polecona). Za pobraniem pocztowym rękopisów wysłać nie będziemy.

Rękopisy nowel będą zwracane lub odsyłane do dn. 25 czerwca br. wyłącznie. Po tym terminie pozostałe rękopisy zostaną bezwzględnie zniszczone i Redakcja nie będzie przyjmowała z tego tytułu żadnych reklamacji.

Informacyj w sprawie ukończonego konkursu udzielać będziemy tylko na łamach „Pionu”.

MILION DLA WILNA SZCZĘŚCIE UŚMIECHNĘŁO SIĘ NIEZAMOŻNYM

Szesnasty z kolei, a pierwszy według nowego podziału losów na pięć części, milion złotych padł w ostatnim dniu ciągnięcia czwartej klasy czterdziestej pierwszej Loterii Klasowej na nr 128215 w Wilnie.

Czytamy często o trudnościach, jakie przeżywa Wileńszczyzna, toteż milion ten będzie miał szczególne znaczenie dla gospodarstwa miejscowego i przyczyni się w dużej mierze do podniesienia dobrobytu ludności tej części naszych Kresów. Powstaną nowe warsztaty pracy, które licznym rodzinom bezrobotnych zapewnią możliwość zarobkowania.

Nie posiadamy jeszcze dokładnych szczegółów, dotyczących osób obdarzonych tak szczo-

drze przez Fortuna. Na razie wiadomo tylko tyle, że są to osoby niezamożne, dla których kapitał odegra decydującą rolę w ich dotychczasowym trybie życia. Na pięć osób, wygrały trzy panie. Jest to znamienne, gdyż podczas ubiegłego ciągnięcia panie cieszyły się specjalnymi względami losu.

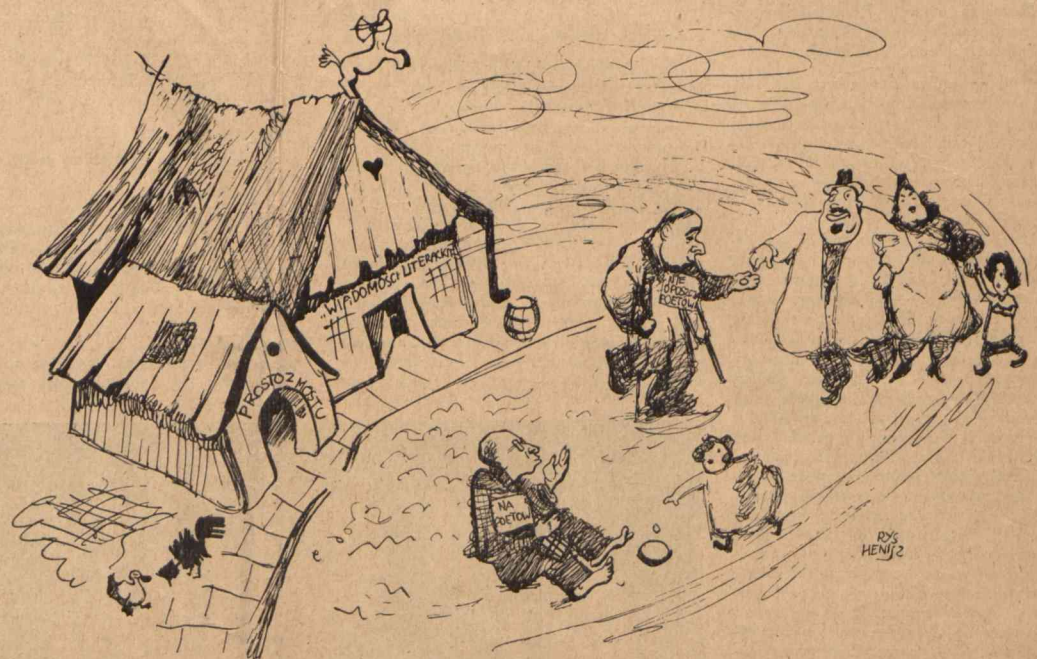
Dziś każdy z tych co wygrali jest posiadaczem 160.000 złotych, dzięki temu że los podzielony został na pięć części. Przyszłość należy do nich i do tych, co wygrają w rozpoczynającej się czterdziestej drugiej Loterii.

Trzeba się tylko pośpieszyć z nabyciem losu do pierwszej klasy, bo ciągnięcie zaczyna się 22 czerwca r. b.

OGRÓD - KAWIARNIA K. DAKOWSKIEGO w Bagateli

jest najmiłszym miejscem spotkań elity towarzyskiej stolicy
KONCERT dwa razy dziennie - DANCING - COCKTAIL BAR - WYSTĘPY ARTYSTÓW

KULISY NAGRÓD LITERACKICH



Przed nagrodami: Redaktorzy Piasecki i Grydzewski „w akcji”

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 - 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty - 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Koloniecki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński